

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 11 listopada 1945 r.

Nr 50

JÓZEF SIERADZKI

Więcej światła

Nie tylko inspiracja, ale wysunięcie zagadnienia, z którego strzela snop myśli i światła, docierającego do najgłębszych naszych trosk i zdawałoby się nieważkich, lecz mających w rzeczy samej najcięższą wagę problemów, jest zasługą Stefana Żółkiewskiego. Jego artykuł „O pozytywny program kulturalny“ („Odrodzenie“, nr 37) jest zdarzeniem, znaczącej więcej niż gruby tom z tych, które stoją na półkach w naszych bibliotekach. Więc choć wypadnie wyruszyć w stronę nauki, którą St. Żółkiewski ominął i pozycję dygresję — pozornie odbiegającą od rzeczy — pozostaniemy w kręgu zakreślonym szeroko, szczerą ręką przez niego.

SPRAWA HISTORII

Nauce historycznej pisana jest poważniejsza rola niż dotąd, i u nas i na szerokim świecie. Oczywiście nie tej, która używając miana nauki, sama nieraz i niejedną żywiła wątpliwość, czy jest nią, a jeszcze częściej odsadzana była od tej godności z pozycji, gotowych uznać tylko nauki przyrodnicze.

Od kiedy historia oderwała się od tradycyjnego toru stwierdzania jedynie faktów i od twarzania ich przebiegu w sposób możliwie wierny i żywy, za szczyt ambicji stawiając sobie ustalanie tzw. jednorazowych i niepowtarzalnych zjawisk, — sprawy uległy zasadniczej zmianie. Nawet historycy, którzy odżegnywują się żarliwie od materializmu dziejowego, mają dosyć takiej historii: konglomeratu anegdoty związanej co prawda niejednokrotnie z wielką pomysłowością i świetnym rzadko talentem, ale w istocie nie wychodzącej poza formułę: badamy, bo jesteśmy ciekawi jak to było właściwie.

Dziś rozporządza historia ścisłą i wypróbowaną metodą, dokonuje klasyfikacji zjawisk i ustala ich prawidłowość. Ta droga idzie jej odrodzenie i dopływ nowych sił. Jest to zasługą historycznego materializmu.

Bo co niosła druga połowa XIX wieku i wiek XX poza szkołą Marxa?

Było, dreptanie w problemach teorio-poznawczych (Dilthey) i logicznych Windelbanda i Rickerta, którzy istotę twórców życia ludzkiego widzieli w jednorazowej rzeczywistości, wypatrywanej „okiem ducha“ i poza indywidualnością faktu przyjmowali z pesymistyczną pokorą, że we wszystkim co jest historycznie zbadane, pozostaje remanent niepojęty, coś nie do wysłowienia, nie do zdefiniowania (ineffabile). Była Xenopola fenomenologia z pojęciem serii historycznej, w której rozumna myśl o prawidłowości tonęła we mgle idealizmu filozoficznego. Było Crocego logiczno-metafizyczne pojmowanie istoty historii i błękitny spirytualizm Eucken'a i neokantysta Natorp z koncepcją historii jako rzeczy czynu. Rząd apriorycznych, z góry założonych konstrukcji o ideach, siłach duchowych, metafizycznym sensie, moralnych energiach (Ranke), teleologiczne spekulacje, które przyjmują celowość rozwoju jako pewnik a moralne wartości jako probierz. Krótko mówiąc językiem nieocenionego Bobrzyńskiego: „filozofia spekulacyjna, która używała i nadużywała historii dla upozorowania swoich rozlicznych systemów, która zaczynała od historiozofii zamiast na niej kończyć“.

Osobno toczyła się aberracja psychologiczna. Psychologia opisowa i psychologia typów zastosowana do dziejów. Spranger'a psychologia noologiczna, której zrozumiał sens skończył się w sferze teorio-poznawczych zawisłości. Empiryczny realizm Trölscha, który wbrew ludzkiej terminologii błąkał się po rozłogach idei etycznych i popadał w relatywizm. Pograżony w myśleniu spekulacyjnym Simmel. A z psychologią ostrożnie! Nie dlatego, by jej dziedzina przejawów ludzkiej egzystencji i działalności była godna zlekceważenia, lecz z przyczyny małego wciąż jeszcze stopnia jej naukowej pewności. Nic też dziwnego, że kończyło się na zawisłości, hermetycznym (jak mówi Kula) języku, coraz mniej zrozumiałym, i degrengoladzie: dopatrywanie się sensu w dziejach człowieka jest iluzją, wpędzaniem przez historyka następco fikcji „w pozabawione sensu tragedie życiowe mrowiska“ (Lessing). Taką skargą ponurego pesymisty i katastrofizm w rodzaju Spengler'a diagnozy o „zmierzchu Zachodu“ kończy się rzut myśli historycznej, która czerpała pożywkę z idealistycznej filozofii, ostatnio z kuchni Machów i Averariusów.

Były co prawda i inne tory. Myśl Saint-Simona i Comte'a o koordynowaniu faktów i wydobywaniu z nich „ogólnych praw“. Materialistyczno-mechanistyczny kierunek socjologii i historiozofii pozytywizmu. I Hipolita Taine'a teoria środowiska, które kształtuje jednostkę. I socjologia biologiczna, zasłużona w walce z teorio-poznawczymi kierunkami i psychologizmem. Socjologia szukała naturalnych praw społecznego życia. Nasi historycy pozytywizmu, wychowankowie Szkoły Głównej wahali się pomiędzy adoracją ustalonych faktów jednostkowych a skłonnością do uznawania ogólnych reguł rozwoju ludzkości czy narodów, pod przemożnym wpływem Darwina i Herberta Spencera. Socjologowie pozytywni końca stulecia z szkoły Durkheima mieli u nas z najpopularniejszych Bolesława Limanowskiego. Pozytywna myśl, o której łatwo dokazać, że płynęła od Marxa i Engelsa, robiła swoje. Wundt odrzucał transcendentne zaciemnienia i spekulatywną filozofię. Barth oznaczał socjologię jako naukę historyczną i psychologiczną. Burckhardt realizował ulepszone pozytywizm w dociekaniach historyczno-kulturalnych. Lamprecht siedzi w stronę już nie przyrodniczo-socjologicznego, lecz społeczno-socjologicznego pozytywizmu i coraz częściej mówiono o empirycznych, dających się ustalić w badaniu faktach rozwoju ludzkiego.

Siła ciśnienia materializmu dziejowego, który rozświetlił mroki rozpostarte nad dziedziną historii, okazała się tak wielka, jej receptcja tak powszechna, że w obozie przeciwników i niezdeterminowanych uderzano nieraz na trwogę i zarządzano mobilizację przeciwko wrogowi wdzierającemu się w ich własne szeregi. Wzywano też do poznawania nieprzyjaciela w jego kraju (Bernheim).

Na próżno! Oto historycy reklamujący na pewno swą niezależność od marksizmu oświadczają, że zadaniem historii jest „poszukiwanie prawidłowości w występowaniu

i przebiegu zjawisk“ (Bujak). Tenże sam wysuwa za Francuzami (Lacombe, Seignobos, Langlois) potrzebę stworzenia części ogólnej historii, o elementarnych zjawiskach i pojęciach historycznych na obraz geografii i nauk przyrodniczych. Tak zwycięsko przebijają się w istocie elementy materialistycznego pojmowania dziejów, poglądu, że „momentem decydującym w historii w ostatniej instancji jest produkcja i reprodukcja rzeczywistego życia“.

„Ani Marx ani ja nie twierdziłmy nigdy nic ponad to. Jeśli więc ktokolwiek przekreśli to w tym sensie, jakoby moment ekonomiczny był jedynie decydujący, to zamieni on twierdzenie w nic nie mówiący, abstrakcyjny, niedorzeczny frazes. Położenie ekonomiczne jest podstawą, ale na bieg walk historycznych wywierają również wpływ, a w wielu wypadkach określają przeważnie ich formę, rozliczne momenty nadbudowy“ (Fr. Engels do Józefa Błocha, 1890). Są to momenty pochodne, jako to formy prawne, teorie polityczne, teorie filozoficzne, poglądy religijne.

Taka jest prawda o twórczej roli materializmu dziejowego, zanim doszedł do samostanowienia. Żalony upadek dziejopisarstwa w Niemczech w okresie trzeciej Rzeszy nie był zjawiskiem odosobnionym. Towarzyszył mu kryzys i zastój poglądów w historio-graphii Zachodu, którego celniejsze pozycje ostatniego czasu nie mogą ludzi. Gdzie więc legitymacja do produkowanych często i w słowie i w druku opinii o postarzałej myśli Marxa, zdystansowanej jakoby przez postęp w nauce.

Jakiej? Chyba nie historycznej, która o ile szła dawnymi drogami, nie umiała wyplątać się z metafizycznych błękitów, a ostatnio staczała się w relatywizm, grząską względność, katastrofizm i pesymistyczną nicość. „Obmierzła nam, stęchłą atmosferą rozwielmożnionego w świecie myśli intuicjonizmu i irra-

jonalizmu, wszelkiego typu emocjonalnego, jakościowego myślenia“ (Żółkiewski).

Wszystko-lepiej-wiedzący przyparci do tego muru wskazują jednak na inne dziedziny, z których jakoby wyrósł zwycięzca filozoficznego materializmu: genetyka, teoria kwantów, nowoczesna fizyka teoretyczna i atomistyka. Mogą ten proceder uprawiać z powodzeniem, albowiem znawcy rzeczy milczą. A głosu ich, słowa prawdy naukowej i odpowiedzialnej popularyzacji potrzeba więcej niż w czymkolwiek i kiedykolwiek.

W ZUPEŁNEJ ZGODZIE

Jest i pozostaje niepowtarzalność faktów i idiomatyczna metoda ich ustalania (Rickert) i niezależnie od zabarwienia indywidualnego zdarzeń historycznych, tkwiące w każdym z nich jądro typowe, treść dostatecznej do przeprowadzenia klasyfikacji i szukania prawidłowości (Bujak, „Zagadnienie syntezy w historii“). W badaniu metoda, będąca dojrzałym, świetnym owocem metodologii, zwłaszcza mediewistycznej, w konstrukcji nomotetycznej, przodująca teoria historiozoficzna. Oto świadomość, która — jakby wynikało z wyznania wiary — zaakceptuje Żółkiewski, która nie jest kompromisowym eklektyzmem, sięgającym na wybiórke do różnych natur, wrogich elementów. Myli się Witold Kula, upatrując łamigłówek różnorodnych elementów w recepcji rygorystyki poprawnego myślenia z „Kreisu um Schlick“ i treściowych składników autonomicznej humanistyki („O program i jego wykonanie“, „Kuźnica“ nr 8).

Jedność metody i teorii jest do pomyślenia i zastosowania.

Oto dziejopisarstwo radzieckie zbierało się do wysokiego lotu, lecz potknęło się na Pokrowskim i — przebrnąwszy przez stadium koniecznej dla celów pedagogicznych i utylitaryzmu społecznej syntezy — zwraca się w poważnym skupieniu do zorganizowanych w seminariach, gruntownych badań i prac monograficznych. Może się już powołać na piękne wyniki archeologii, dyskutuje problem autochtonizmu Słowian wschodnich, zwalcza z powodzeniem teorię rosyjskiej i nierosyjskiej na genezę państwa ruskiego. Dmuchą w żar świetnego niegdyś ogniska bizantyńskiej, wznawia pracę katedr filologii klasycznej, zdobyła wielki materiał przygotowawczo-badawczy do przełomowego okresu październikowej rewolucji. Organizuje na rozległą skalę wydawnictwo źródeł. Właśnie na idiomatycznie chromała współczesna historiografia rosyjska i w tej chwili zaciąga nowe pozycje: zorganizowanie analitycznych badań, monograficznych opracowań, które dostarczą materiału do nowych uogólnień.

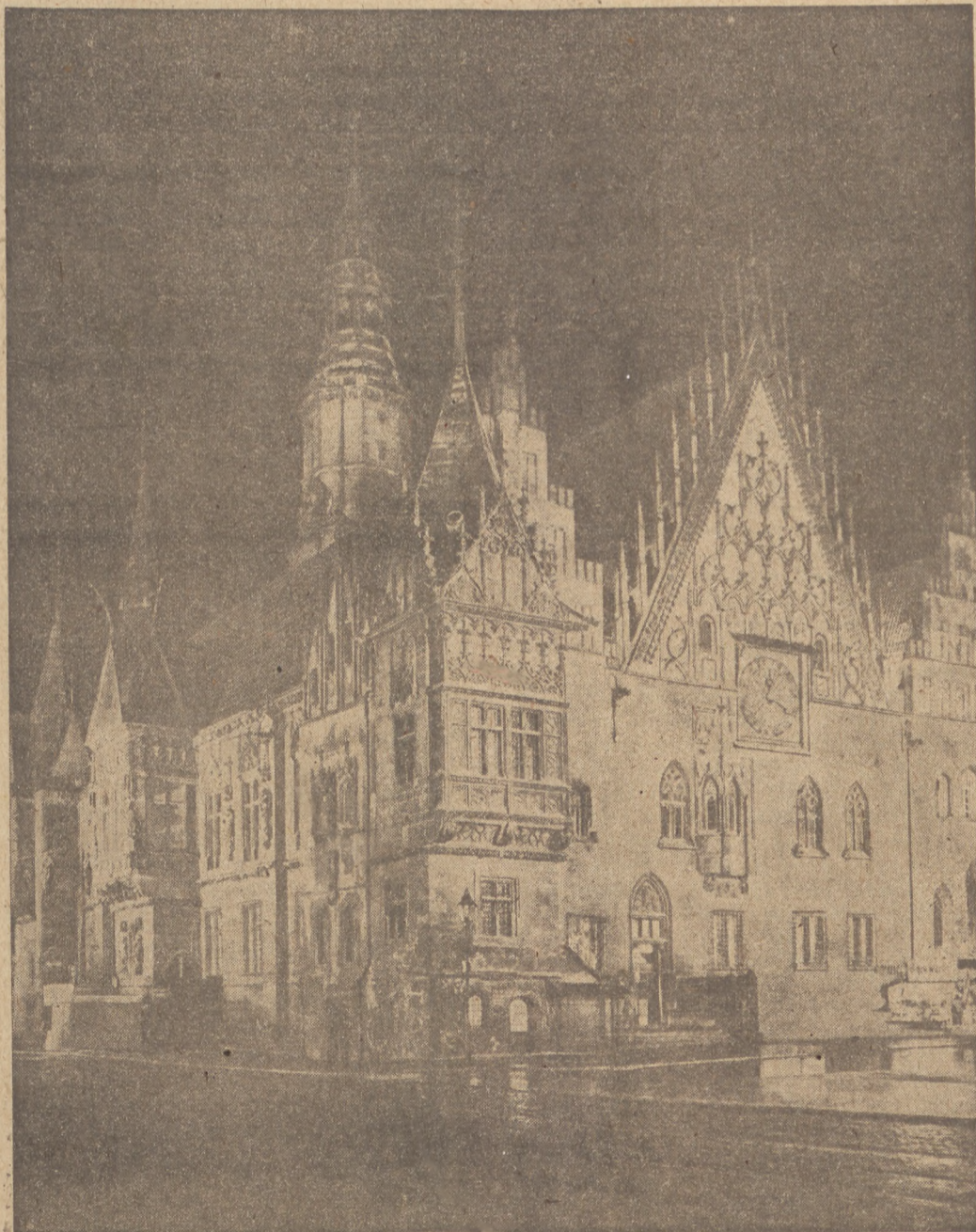
Tak, mniej więcej, jest w dziedzinie nauk historycznych, której Żółkiewski nie objął swymi rozważaniami, poświęconymi sprawie krytyki literackiej, filozofii i literatury pięknej. O historię tylko potrącił („Niedoceniane i przemilczane“, „Kuźnica“ nr. 7) — bardzo niewystarczająco.

GDZIE WSTRZĄS?

Nasze dziejopisarstwo, mające wiele kart, z nich niejedną piękną, od kilku dziesiątków lat straciło blask. Nie przez brak talentów wielkiej, europejskiej miary. W ostatnim czasie Zygmunt Mysłakowski wypowiedział kilka słów ostrej krytyki pod adresem polskiej nauki historycznej („Nowa Szkoła“, nr. 1), trochę słusznych a trochę niesłusznych.

Rzecz znamienna, jak nikły był refleks odzyskania państwowości w dziejopisarstwie. Zdawało się, że nastanie nowa epoka w nauce. W roku 1923 pisał Stanisław Zakrzewski z nutą rozczarowania: „Od wskrzeszenia państwa ubiegał lat zaledwie pięć i mógłby więc ktokolwiek podnieść, że jest to zbyt krótki przeciąg czasu, by znaczenie zjawiska, o którym mowa, wystąpiło jasno i wyraźnie“.

Rzecz sprowadzała się i sprowadza do zasadniczego przesilenia dającego się stwierdzić w dziejopisarstwie światowym. Stąd partykularyzm tematyki, brak szerszego oddechu mimo warunków stworzonych przez państwo. Gdy ich nie było, rozgorzała wielka dyskusja nad genezą państwa polskiego. Zawdzięczamy jej naukowy pogląd, którego dziś dobiega się historiografia radziecka. Była swojego czasu znakomita wymiana myśli, publicystyka historyczna i historia — nie ma



Ratusz we Wrocławiu

w tym i nie potrzeba wyraźnej gramy i hierarchii — o przyczynach upadku Polski.

Była swoboda myśli w traktowaniu spraw bardzo bolesnych, z dążeniem do „odsłonięcia nagiej prawdy, niczym nie osłoniętej”, — dla nauki i przestrogi. Była czasem miłość prawdy większa niż siła tradycji religijno-kościelnej, gdy Tadeusz Wojciechowski z tekstem zagadkowego mnicha w rękę dociekał „qualiter autem rex ex Polonia sit eiectus”, jak wygnany został Bolesław Szczęśliwy z kraju, — i z patrona Polski dzierał nimb męczeństwa za wiarę, wznawiając ostrym zgrzytem brzmienia wyraz „traditor” — zdrajca o biskupie krakowskim.

We wspomnieniach wzeszłej wolności posłyszano podźwięk świetnej ongiś dyskusji o przyczynach upadku; tym razem więcej z inicjatywy Antoniego Chołoniewskiego niż sfer naukowych i z tchnieniem zaściankowosci, w grzechu i błędzie dopatrującej się wielkości i postępu. Zrodził się neopopulizm Balzera w poglądzie na Konstytucję 3 Maja. Przejawiła się, prawda, świadomość suwerenności państwowej w problematyce polsko-niemieckiej i dążenie do emancypacji spod przemożnego wpływu niemieckiej historiografii. Były jakieś próby rewizjonizmu na pograniczu literatury i historii. Był żywy rozwój badań z zakresu historii gospodarczej, społecznej i ustrojowej. Były nawoływania do pracy naukowej, stworzenia programu i planu prac i syntezy historycznej. Ta wypadła nieszczęśliwie i czeka wciąż jeszcze na zakończenie.

Poza bardzo nielicznymi wyjątkami nie było potrzeby zacerpnięcia głębokiego tchu, rozejrzenia się w filozoficznych podstawach nauki. Głód abstrakcji nigdy co prawda, nie był u nas zbyt ostry i woleliśmy po te rzeczy już gotowe sięgać do obcych, zwłaszcza do Niemców. Jeszcze więcej działał konserwatyzm i wsteczność. „Zwłaszcza że, mówmy otwarcie, dominują u nas wsteczne tendencje naukowe, wyrosłe z reakcyjnych dążeń społecznych” (Żółkiewski).

I tak zostało do tej pory.

Więc jeżeli tak minęła nauka próg wolności, o którym marzyły pokolenia, a cierpienie wzniesione zostało na skrzydłach poezji w rejon obłędu, że Polska jest „Chrystusem narodów”, to jaki być może wstrząs obecny?

Legenda o wywalczeniu niepodległości przez legiony Piłsudskiego, rozwinięta została, na przekór prawdzie, z sugestią, której podlegli nawet sami jej twórcy, choć augurowie między sobą wiedzieli jak przedstawia się prawda. Na wyniosłych katedrach woli się to niż empiryczną prawdę o udziale w rozbiciu hitlerowskich Niemiec armii sformowanych w Związku Radzieckim. Prawdę idiomatycznych faktów, ograniczonych w czasie i przestrzeni, sprawdzalnych grobów jednostkowych i masowych od Oku aż do Berlina.

Dziś, gdy wrócił tam, gdzie nas nie było w okresie największego terytorialnego rozwoju Polski, za Kazimierza Jagiellończyka, — nad dolną Odrę, gdzie od Krosna do Szczecina siedzieli ongiś Lutycy, a na południu pod stoki sudeckie, gdy najsmielsza fantazja historyka została pobita na głowę, na naukowym Olimpie panuje spokój. Oczekiwanie, by się „z pogodnych niebios ośma zdarła smutna”.

Różne są źródła kontemplacji, a wszystkie prowadzą do jednego: konserwatyizmu społecznego. Alibizm (nie było mnie przy tym), attentizm (attention, uwaga! nie wiadomo jeszcze co będzie), obojność (Bogu świeczka i diabłu ogarek), a co najmniej reserwatio mentalis.

Więc Kula próżno oczekuje wybuchu myśli i idei. Nie nastąpi łatwo, nawet gdy wznowione zostaną periodyki naukowe, co prawda bardzo potrzebne.

Dlaczego?

„Bo nie. I to jest rozumne, i zrozumiałe dla realisty, w duchu materializmu dziejowego. Gdyby było inaczej, nauka Marxa nie warta byłaby funta kłaków. Albo też zaszedłby fenomen, na którego oglądanie zjeżdżaliby się marksści (i niemarksści) z całego świata.

TEMATYKA I DYGRESJE

Ale dlaczego milczą o tym, o czym mogliby mówić i powinni zgodnie z sumieniem? Oto jest sprawa łaciny. Powiedzmy lepiej, elementów klasycznej kultury, o którą tak dbaliśmy i dbamy w — przesadnym — przeświadczeniu o naszych związkach z Zachodem. Reformatorzy szkoły kasują ją, albo sprowadzają do niewielkiego reliktu w nowym programie. We Francji wre na ten temat dyskusja, piszą zwolennicy, mówią przeciwnicy. A „w naszym boru cicho, tak cichutko”. Tymczasem za utrzymaniem łaciny dałoby się niejedno powiedzieć poza samym argumentem filologicznym, istotnym ze stał nowiska języka polskiego. Poważne motywy ogólnokulturalne i nawet polityczno-społeczne. Łacina nie koniecznie jest synonimem pierwiastka zachowawczego dlatego, że gimnazjum klasyczne należy do epoki politycznego zacofania i monarchii. Również nadużywanie klasycyzmu przez faszyzm nie dyskwalifikuje jej, jak komory gazowe nie utracają chemii. Cóż bowiem oznacza merytorycznie fakt, że prawie każdy rucł wsteczny przytrafia do swej kulbaki spadek kultury antycznej i klasycznej każdał sobie podawać strzemie.

Dla elementów twórczych klasycyzmu, mimo niezaprzecznego powinowactwa, którego z nim szukali teoretycy totalizmu — nie. A do tych elementów, jak do całej masy spadko-

wej po przeszłości, zgłasza pretensję jej sukcesor: robotnik i chłop.

Miejmy cierpliwość, a będzie mowa o wszystkim w pozytywnym programie kulturalnym. Stanisław Zakrzewski, jeden z najbardziej inteligentnych i żywych umysłów w naszym dziejopisarstwie, który mimo jednostronne rozmiłowanie w historii politycznej, rozsiadł po pismach twórcze myśli i impulsy, zwrócił w 1908 roku uwagę na zagadnienie Wschodu i Zachodu w Polsce:

„Nie można dziś budować tezy, że nasze dzieje stanowią integralną część powszechnych dziejów Zachodu. Musielibyśmy się zadowolić rolą szarego ogońa w historii Zachodu i świadomością, że nam było z tym szczególnie dobrze. Aż do daty rozbiórów, prócz czasów Bolesława Chrobrego, nie widzę żywych bezpośrednich związków Polski z Zachodem, prócz przymusu i konieczności działających ze strony Niemców i Kościoła” („Zagadnienia historyczne”). Tak mówił najlepszy znawca piastowskiej epoki. Zakrzewski wytyczył nawet punkty oparcia dla tej interesującej tezy o związkach ze Wschodem i wzajemnych rusko-polskich wpływach od polityki do osadnictwa i od Mieszka I do Kazimierza Wielkiego. Nikt tego nie podjął i rzecz ta została nierozwinięta. Trwał bowiem kompleks wyższości, upowszechniony w narodzie z niemałym udziałem piśmiennictwa i dziejopisarstwa i rósł furror occidentalism, snobistyczny, prawdziwie sine nobilitate satelityzm i „zadowolenie z roli szarego ogońa w historii Zachodu”.

Pod ożywczym tchnieniem trzeźwego, ścisłego, wrażliwego naprawdę empiryzmu, wrócimy umysłem do szerszych poglądów, gdy „piers polska karmiła wznioślejsze dążenia od tych, w które nas zakulała i ciemnota i krótkowidztwo w epoce upadku”. Towarzysząc na krótko Arturowi Górskiemu „w wędrówce przez gościńce wieków” wzmowimy postępowego w on'cz a s rektora akademii krakowskiej Pawła Włodkowica: „wiara nie może być z przymusu”. I Zygmunta Augusta: „nie jestem królem waszych sumień”. I Batorego:

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Parcelacja czy komasacja?

Odbył się niedawno w Łodzi zjazd pisarzy chłopskich, na którym powołano do życia Oddział Wiejski Związku Zawodowego Literatów Polskich i wybrano władze tego zrzeszenia. Wśród dwudziestu czterech uczestników zjazdu, stanowiących tylko część pisarzy chłopskich, brakowało wielu, których „chłopskość” pod żadnym względem nie może być kwestionowana i którzy w literaturze polskiej, zyskali sobie już trwałe imię.

Projekt stworzenia odrębnej organizacji pisarzy wiejskich omawiany był poprzednio na zjeździe tych pisarzy w Warszawie, a następnie na ogólnoliterackim zjeździe w Krakowie. Projekt ten, forsowany uparcie przez grupę wnioskodawców, nie wywołał entuzjazmu wśród ogółu pisarzy polskich; przeciwnie, wzbudził protesty, zastrzeżenia i mniej lub więcej kateryczne oceny ujemne. W imię słusznej zasady jednolitości literatury narodowej występowano przeciwko ekskluzywizmowi pisarzy chłopskich, przeciwko hodowaniu partykularyzmów kulturalnych i stanowych separatyzmów. Mimo to, powstanie Oddziału Wiejskiego Z. Z. L. P. stało się faktem dokonanym, a założyciele Oddziału nazywają fakt ten „wydarzeniem o historycznym znaczeniu w dziejach organizacji kultury polskiej”.

Sprawa jest zbyt poważna, by tego rodzaju opinie można było przyjąć na wiarę, uznając tym samym słuszność argumentów, które wyodrębienie się pisarzy chłopskich spowodowały. Sądzę, że rację i potrzebę powstania Oddziału Wiejskiego najlepiej będzie rozpatrywać w świetle enuncjacji, poświęconych zjazdowi łódzkiemu i jego wynikom. Oświadczenia te pozwolą w sposób właściwy ocenić wartość uzasadnień i przesłanek, które o powstaniu Oddziału Wiejskiego zdecydowały.

W nr. 13 tygodnika „Wiś”, poświęconym niemal w całości sprawom zjazdu, określono w ten sposób zadania, stojące przed nową organizacją pisarzy wiejskich:

„1) pomoc materialna pisarzem chłopskim, a w szczególności debiutantom; 2) rejestracja pisarzy chłopskich i obrona ich praw autorskich; 3) program wydawniczy i środki realizujące go; 4) metody rozwoju w zakresie rodzajów i nowych form piśmarstwa chłopskiego.

Bez względu na pewną niejasność i ogólnikowość tych sformułowań, dotyczących kwestyj materialnego bytu oraz twórczości pisarzy chłopskich, można stwierdzić, że rejestr zadań postawionych przed Oddziałem Wiejskim, nie zawiera nic takiego, co by się nie dało pomieścić w ogólnych ramach praw i dążeń Związku Zawodowego Literatów Polskich. I nic nie przemawia za tym, że obrona materialnych i artystycznych interesów jakiegokolwiek grupy pisarzy polskich będzie mogła być przeprowadzona skuteczniej na własną rękę niż przez ogólnie władze Z. Z. L. P. Tak więc realna potrzeba tworzenia wyodrębnionych grup literackich staje pod znakiem zapytania, i tego stanu rzeczy nie może zmienić obfitość motywów frazeologicz-

Ego nunquam persecutione aut sanguine religionem propagandam esse censeo — sądzę, że religii nie wolno nigdy szerzyć prześladowaniem lub krwią i jego również: *nunquam humanas consciencias cogi posse* — nigdy nie można ujarzmić ludzkich sumień. I zażalenie szlachty na sejmie w Piotrkowie 1534 roku: „Tu też nam się krzywda wielka widzi od księży, albowiem każdy język ma swym językiem pismo a nam księży każą głupimi być”.

I: factum św. Stanisława, Zbigniew Oleśnicki, klucz do historii pierwszej połowy XV wieku („mógł on a za nimi Długosze interesy polityczne hierarchii kościelnej stawiać wyżej od interesu narodowego Polski”), Ostroróg, Modrzewski, arianie, doktryny społeczne formacji, dzieje chłopca, jezuita i prawdziwy Zygmun III, kozaczyzna i Hadziacz, prawda o wielu sprawach XVIII wieku i rozbiorach, przełom umysłowy w Polsce w drugiej połowie XVIII wieku, Kościuszkowie („ludzie powinni zawsze pamiętać o swej godności człowieczej”), Staszyc i słowianofilia („co takiego Kościuszkę, co takiego Staszica ku Aleksandrowi skłoniło”), jeszcze raz Lubecki, margrabia Wielopolski, wspólna walka o postępowość w Rosji w XIX wieku, nasi demokraci i społeczni radykali, rozwój proletariatu przemysłowego w Polsce.

Albo wielki epizod najnowszych dziejów, powstanie sierpniowe, Stanowisko negacji, jak ongiś pozytywizmu do roku 1863 jest nie do pomyślenia. Potępić powstania, oznacza burzyć filary naszej historii od końca XVIII wieku. Nie można grzeszyć niekonsekwencją, z entuzjazmem odnosić się do ruchów oporu u innych narodów, z dezaprobatą u siebie. Ideologia powstańcza i konspiracyjna ma u nas dawne tradycje. Transponując jej wroga Szujskiego, możemy wszakże żywcem wybrać żeń i dosłownie zastosować do chwili obecnej, że dzisiaj, ale to dopiero „dzisiaj, po skończonym uwłaszczeniu, przyszło do tego, że konspiracja ma absolutną niesłuszność, strona normalnej, organicznej pracy absolutną słuszność” („Kil-

ka prawd z dziejów naszych”). Trzeba, być dyalektykiem i nie przetrzucać tego na wczoraj. Powstanie warszawskie było ogniwem długiego łańcucha i stanowiło jedną z form walki na śmierć i życie z okupantem, akcji, od której drżały podstawy okupowanego kraju w ciągu kilku lat. Było działaniem niemal ostatnim, gdy kraj zastygł w naprężeniu, a żołnierz dygotał wyciekając hasła: „do broni!” Nie to było wadliwe, że wybuchło, ale kiedy wybuchło i jak wybuchło. Nie istota czynu, ale jego polityczna faktura.

Nowa historiografia zdobędzie się pomimo ruiny stolicy, mówiąc językiem Marxa „wandalizm rozpaczliwej obrony”, na rozumną ocenę aktu upartej, wytrwałej walki o wyzolenie własne, a przyszłość i postęp świata. Przyjdzie prostować wykrzywienia prawdy i usuwać fałszy, niejedną raz rozdzierać tradycję historyczną, wkorzoną tendencję w sądach o wielu sprawach i postaciach. Dodać mało było takich prób a jednemu z najwybitniejszych naszych historyków wyrwała się bolesna skarga: „biada temu historykowi, który by chociaż z dokumentami w rękę tradycję tę starał się, osobiście na gorsze odmienić”. Uczni w gronostajach nie darują. Waliszewski zapłacił za nieco odmiennie od obowiązującego kanonu poglądy o Katarzynie II — karierą uniwersytecką.

Podane przykłady tematów są tylko nikłym fragmentem wielkiej pracy, która czeka dziejopisarstwo polskie. Nadto czekają zadania wydawnicze: reedycja źródeł, nowoczesnie opracowane „Monumenta Poloniae Historica”, i edycja niewydanych materiałów źródłowych. Program i plan pracy i organizacja jej wykonania.

Z nową świadomością metodologiczną, z rygorystycznym ścisłością, instrumentem teoretycznym, któremu nie ma równego wśród wszystkich kierunków i szkół historycznych, z postępową postawą, jak mówi Żółkiewski, „ogólnym ładunkiem myśli i poglądów” godnych współczesnego przedstawiciela nauki i człowieka — do nowej syntezy historycznej.

Józef Sieradzki

warunkach rzeczywistości polskiej? Czy istotnie masy pracujące — chłopci i robotnicy — osiągnęły już tak dalece wszystkie swoje cele, że mogą sobie pozwolić beztrudnie na chodzenie luzem, choćby tylko na odcinku kulturalnym, na drogach twórczości pisarskiej i artystycznych zamierzeń? Czy postulat solidarności i wspólności marszu chłopsko-robotniczego stracił już walor i moc obowiązującą?

Tak bynajmniej nie jest. Bo wiele jeszcze walk, trudów i — niebezpieczeństw przed nami, zanim prawdziwa demokracja społeczna i gospodarcza osiągnie w Polsce formy pełnowartościowe. I nie poprzez ambicje grupowe czy stanowe, nie poprzez dzielenie, lecz poprzez łączenie wysiłków wiejskich i miejskich pisarzy-demokratów wiedzie droga do zdobycia tego, co stanowi o wartościach kultury ogólnonarodowej, w jej trwałym i nowoczesnym aspekcie.

Na froncie wsi polskiej dają silne wiatry parcelacyjne, wywołując skutki rozmaitej natury. Po zbawiennej parcelacji wielkiej własności ziemskiej, przyszła parcelacja politycznego ruchu ludowego, co jest zjawiskiem przykrym, niepokojącym i trudno dającym się uzasadnić. Gorączka parcelacyjna ogarnęła i część pisarzy chłopskich: ze względów niezbyt zrozumiałych zabrali się do parcelacji Związku Zawodowego Literatów Polskich, wstępując na śliskie ścieżki wsiowej wyłączności, wsiowego separatyzmu społeczno-kulturalnego. Te koncepcje nie wytrzymują krytyki nawet z punktu widzenia jedynie ochrony i popierania twórczości pisarzy chłopskich. Dzieło prawdziwego talentu, owoc dojrzałego artystycznego wysiłku legitymuje się pieczęcią samoistnej wartości i nie wymaga stempla Oddziału Wiejskiego Z. Z. L. P. Zaś temu, co licze i nieprzychylnie myśli powstały w głowie, a już zwłaszcza nie powstaną tym, którzy swą wiedzę o rzeczywistości chcą brać nie z partykularystycznych, ad hoc tworzonych mitów, lecz z realnej oceny istniejących warunków i stosunków. Taka właśnie ocena każe stwierdzić bezapelacyjnie, że nie parcelacja, lecz komasacja dążeń i wysiłków jest jedyną drogą, umożliwiającą osiągnięcie wielkiego celu: „demokratycznej jednolitości chłopów i robotników”. Jedności — na wszystkich odcinkach i we wszystkich dziedzinach odnowionego bytu zbiorowego, a więc i tam, gdzie słowo pisarza czynem społecznym się staje.

Bolesław Dudziński

KRYSZYNA KULICZKOWSKA

O współczesnej literaturze dla dzieci

OD DYDAKTYZMU DO ARTYZMU

Jeśli w tworzeniu nowej rzeczywistości podstawowym postulatem jest wychowanie młodego pokolenia, jeśli tyle miejsca poświęca się reformie nauczania oraz pracy w zespołach młodzieżowych, należy także mocniej niż kiedykolwiek podkreślić znaczenie utworu dla dziecka, które za jego pośrednictwem już na pierwszych szczeblach rozwojowych staje się konsumentem dorobku kulturalnego.

Odrębna literatura dla dzieci jest wytworem niedawnej przeszłości. Aż do wieku XVII za granicą, a do XIX u nas, dzieci — jak pisze Hazard — „mogły prosić służbę o bajki, lecz nie były to bajki dla nich; rzucano im okruciny ze stołu, wolno im było sięgnąć do biblii, Owidiusza, abecadła”. Karmiono je w Anglii w wieku XVI utworami, których same tytuły odstraszały: „Tajemnice tajemnic Arystotelesa”, „Trzydziętny mędrzec” lub „O świętej i bezbolesnej śmierci wielu małych dzieci”, a we Francji jeszcze w wieku XVIII mimo tak płodnej w skutki działalności Komeńskiego, który pierwszy zrozumiał w nauczaniu konieczność liczenia się z potrzebami umysłu dziecka, mimo wskazań Fenelona, by „uczyć bawiąc”, za rozrywkę małych czytelników uważano ponure elaboraty w rodzaju: „Bibliothèque pour les enfants — ouvrage propre à leur inspirer l'amour pour la vertu et l'horreur pour le vice, en occupant leur esprit et leur cœur d'une manière aussi instructive qu'amusante” (J. Bruel, Drezno, 1873). A jednak to, i temu podobne dzieła były już owocem zrozumienia, że do dziecka trzeba przemówić osobno, by osiągnąć pewien cel wychowawczy, że nie wolno iść po linii najmniejszego oporu — drogą przeróbek, skrótów i preparowania nieraz po barbarzyńsku dzieł wielkich autorów „ad usum Delphini”. Ow krok w kierunku odrębności dzieła pouczającego dla dziecka nie stanowił jeszcze klucza do jego duszy. Niewątpliwie bliższe mu były pierwociny twórczości ludowej w postaci pieśni, gadek, klechd i baśni, które za pośrednictwem piastunek docierały do niego zastępując mu odpowiednią literaturę.

Nie dosyć było zrozumieć — jak uczynił to Locke — konieczność swobodnego rozwoju dziecka i poważnej pracy nad nim, by jak najszybciej stało się człowiekiem dorosłym, podobnym do swych szlacheckich wychowawców. „Dziś po trzystu latach — pisze K. Czulkowski — wiadomo już, że nie dziecko powinno stać się Lockem, lecz Locke powinien stać się dzieckiem”.

Dopiero epoka pozytywizmu rozumiała w pełni, że tendencje dydaktyczne nie mogą stanowić jedynej podstawy utworu dla dziecka, jeśli mają osiągnąć cel wychowawczy, że znajomość psychiki młodocianego odbiorcy na każdym szczeblu jego rozwoju jest niezbędnym warunkiem asymilacji intelektualnego pokarmu. Gdy jeszcze Jachowicz traktował dziecko jako miniaturę człowieka dorosłego i przemawiał doń spieszczonej językiem („drobne serduszka, wyrazy zdrobniałe, dzieci tak lubią to wszystko, co małe”), „stulecie dziecka” wyolbrzymiło świat jego przeżyć przypisując mu nieraz zbyt wielką wagę.

Forma utworu dla dziecka musiała więc także ulec ewolucji. Początkowo wierszyk, bajeczka, powiastka była tylko czysto praktycznym narzędziem wypowiedzi, łatwujki rym — rodzajem słodkiej powioki na gorzkiej pigułce, którą w ten sposób dziecko łatwiej mogło przełknąć. Wraz ze wzrostem badań psychologicznych treść dydaktyczna uległa wysubtelnieniu, zamaskowaniu, moralu nie narzucano z góry, lecz wyprowadzano go indukcyjnie ze świata przeżyć dziecka; słowo stało się bardziej giętkim i precyzyjnym środkiem wyrazu, formę urozmaicono swoistą rytmiką i refrenami, by wierszyk najłatwiej dziecku przyswoić. Dalszy krok uczyniono w kierunku artyzmu. Stało się to wówczas, gdy postulaty estetyczne wraz z hasłem „wychowania poprzez sztukę” wysunęły się na plan pierwszy. Zrozumiano, że literatura dla dzieci jest także sztuką i że poziom jej nie powinien być niższy od literatury dla dorosłych. Zapomniano jednak, że jest to sztuka stosowana, posługująca się dyscyplinami pobocznymi — pedagogiką i psychologią; utwory dla dzieci w epoce neoromantyzmu popadły w drugą ostateczność — arystokratyczny estetyzm, równie daleki dziedzinie ich przeżyć, jak umoralniające elaboraty sprzed stu lat.

Oscylacja między dwoma biegunami — od dydaktyzmu do artyzmu — odbywa się ciągle i to nie tylko na przestrzeni wieków w rytmie nawracających fal w pobliżu opuszczonych stanowisk prądów wychowawczych, lecz także w ramach jednej epoki, jako dwa równoległe nurty — umoralniające tandety dostępne dla ogółu ubogiej dziatwy, oraz wyszukane go artyzmu dla dzieci „elity”. Ten rozdział społeczny jest niewątpliwie jedną z głównych przyczyn braku prawdziwie twórczej i wartościowej literatury dla dzieci; jedyna bowiem a trudna droga leży w artystycznej syntezie koniecznych postulatów pedagogiki i psychologii oraz w umożliwieniu korzystania z tych produktów całej społeczności dziecięcej.

OD LEKCEWAŻENIA DO SNOBIZMU

Literatura dla dzieci od niedawna dopiero zaczęła wywalczać sobie należne miejsce w dziedzinie zjawisk kulturalno-społecznych. Zajmowali się nią obocznie pedagogowie włączając ją do zakresu praktyki wychowawczej, psychologowie, znajdujący tutaj materiał do badań doświadczalnych nad reakcjami dziecka oraz badacze literatury i sztuki, poświęcający tym sprawom nieco miejsca na marginesie problemów estetycznych. Skutek był taki, że aż do okresu pozytywizmu, gdy z rzetelnym wysiłkiem cechującym tę epokę rozpoczęto wydawanie katalogów dziecięcych utworów, zawierających rzeczową i krytykę z punktu widzenia pedagogicznego — nikt nie zajął się o zebranie pozycji bibliograficznych z tej dziedziny. Żadna biblioteka nie przechowywała dawnych wydawnictw dla dzieci, żadna instytucja nie zajęła się ich zebraniem, a tym



Ilustracja do bajki arabskiej z wieku XIII.

bardziej antykwarnie nie przywiązywały wagi do tego rodzaju „białych kruków”. Zamożniejsi rodzice kupowali dzieciom nowe wydawnictwa, a dziecko przestarzałe, przechowywane przez pewien czas z pietysmem pełnym wspominkowego sentymentu, wędrowały do rąk uboższej dziatwy, gdzie zostały gruntośnie „zacytane”.

Przyczyny tego stanu rzeczy należy szukać w lekceważącym, niemal pogardliwym stosunku do twórczości dla dzieci. Książka dla dziecka spełniała swą rolę niemal anonimowo, ktoś bowiem liczył się poważnie z jej autorem? Dla dzieci pisali ci, którym nie powiodły się górnijšie zamierzenia (typowym przykładem Teofil Nowosielski), czynność ta uchodziła za poślednią, nie wymagającą ani talentu, ani wykształcenia, gdyż będą to czytać tylko „dzieci, nieświadomi odbiorcy, którzy i tak się nie poznają na rymach częstochowskich, usterkach stylistycznych, byle tylko myśl zawarta była zająca, tendencja — moralna. By w owej epoce przysłużyć się najmłodszemu pokoleniu, należało być duchowym abnegatem, rezygnować z lepszej części życia i nie posiadać — broń Boże! — aspiracji literackich. „Nie pragnę sławy, nie chcę być liczoną w rząd poetów” — pisze we wstępie do szóstego wydania „Bajek i powiastek” (Warszawa, 1842) Stanisław Jachowicz — „nie piszę dla krytyków, piszę dla dzieci różnego wieku i stanu, dzieci niech mnie sądzą”. Tak pisał zany filantrop, „ojciec literatury dziecięcej”, godny najwyższego uznania nie z racji swych pływających choć poczciwych nauczek, lecz dlatego, że jego wierszyki dostąpiły w epoce „Pana Tadeusza” marzonego przez Mickiewicza zaszczytu: zeszyły pod strzechy, czytane były przez wszystkie polskie dzieci, zwłaszcza te najbardziej, do których nie miały dostępu „Magasins pour les enfants”, przeznaczone dla wybranych.

Punktem zwrotnym w dziedzinie poglądów na twórczość dla dzieci jest artykuł wydrukowany w „Czasie” w roku 1852, z którego fragmenty warto przytoczyć, jako do dzisiaj aktualne. Nieznany z nazwiska autor ubolewał zarówno nad sposobem wydawania książek dziecięcych, jak nad ich treścią. Podkreśla on, że wydawnictwa dla dzieci znajdowały się dotąd w niepowołanych rękach, stanowiąc wdzięczny teren dla spekulacji księgarzy wrocławskich i lipskich, którzy przerabianiem dzieł francuskich i niemieckich na fałszywą polszczyznę traktowali jako proste rzemieślnictwo. Autor oburza się na balamucenie dzieci tak lichymi wyrobami, które nie są zdolne natchnąć ich energią ani do pracy, ani do zabawy. Świadomie i odważnie występuje w obronie poniżanej dotąd dziedziny twórczości. „Wielu pisarzy pisze dla dzieci dlatego, że nie stać ich na coś lepszego. Wydaje im się, że łatwo jest pisać dla dzieci, składają też głupie książki, które najgłupsze dziecko może zrozumieć, ale to nie odejmuje im nicości i nie-

użyteczności... Jaki utwór wymagać może więcej przyrodzonego i nabytego talentu, większej czystości pojęć, serca bardziej prostego, a nade wszystko sztuki, która umiałaby wszędzie ład wprowadzić? Utwór dla dziecka winien łączyć w sobie najwyższą sztukę z formą najprościejszą. Kto bierze do ręki pióro w zamiarze pisania dla wieku dziecięcego, niech pomyśli jak pisać, by sprostać temu pięknemu ideałowi...”

Głos ten — to pierwsza jaskółka mającej się rozpocząć walki o wartość i poziom literatury dziecięcej, walki z tym, co H. Wolgast nazwał w roku 1899 „Elend der Kinderliteratur”. Począwszy od roku 1885, gdy w zbiorowym piśmie „Światełko” zamieściły utwory dla dzieci najlepsze siły literackie tego okresu, twórczość dla najmłodszych zyskuje coraz wyższe miejsce w szeregu innych, staje się terenem naturalnego wyzycia się indywidual-

chu postępowej myśli społecznej docierały do najdalszych krańców Polski; także pisma tygodniowe („Przewodnik Katolicki”) i pedagogiczne np. „Młoda Matka”, zamieszczały wierszowane i opatrzone ilustracjami „dodatki dla dzieci”. Na tym jednak kończyła się upragniona demokratyzacja literatury dla dzieci. Nieliczne wydawnictwa, przystępne w cenie i na odpowiednim poziomie pedagogicznym oraz artystycznym (Zarembiny, Januszewska, Krzemieniecka), oraz wydawnictwa „Słonka” i „Bluszcz”), nie mogły zaspokoić głodu wartościowych książek dla dzieci na szerszy zbyt. Odwrótnie proporcjonalnie do tego braku wzrastała produkcja jaskrawej tandety o charakterze brukowym oraz artystyczne wydawnictwa o wygórowanych cenach (od 4—7.50 zł.), którymi zarzucono rynek księgarski w ostatnich latach przed wojną. Zwłaszcza zbiorki Tuwima i Brzechwy jako najbardziej atrakcyjne wzbudziły powszechne zainteresowanie, mimo to jednak nie doczekały się w ciągu dwóch lat rzeczowej, bezinteresownej krytyki. Pojawiały się o tych książkach bądź pochlebne, lecz niewiele mówiące recenzje, bądź nastawione głośnie, powołujące wydawcę o zdróżne tendencje wyzyskania gwiazdkowej koniunktury, by odurzyć dzieci upajającą melodią i wyprowadzić je z domów rodzinnych na zatracenie, do „półświatka dziecięcego”. Tego rodzaju tendencyjna krytyka nie urabiała opinii, nie wskazywała innych dróg, nie podawała żadnych argumentów wykazujących dlaczego wiersze Tuwima i Brzechwy są istotnie dla dzieci nieodpowiednie, a nawet, mimo ambitnej troski o poziom artystyczny, kryją w sobie istotne niebezpieczeństwo.

Twórczość tych autorów, ich bogaty dorobek w dziedzinie literatury dla dzieci można, mimo pewnych różnic, omawiać wspólnie. Reprezentują oni ten sam intelektualistyczno-werbalny typ twórczości dla dzieci, zdradzają tę samą skłonność do pomysłowych przeinaczeń, igraszek słownych, paradoksalnych zestawień. Wierszyk o „Grzesiu Klamczuchu” opiera się na zupełnie niezrozumiałym dla dziecka motywie kłamstwa podświadomego spowodowanego bujną wyobraźnią. „Głupi Gabrys” z wierszyka Tuwima „sitem woję czerpał, plaki uczył fruwać, poszedł do kowala, kozy chciał podkuwać”, a obiektywizm tego opisu, zawierający dla człowieka dorosłego swój wzruszający sens, staje się na użytek dziecka humorystyczną obserwacją cudzego nieszczęścia. „Trudny rachunek” — to nieobowiązkowe kpiny z arytmetycznych działań, nad którymi nawet dorosły człowiek zastanawia się dłuższą chwilę, zanim uchwyci w nich programowy bezsens. Tuwim celuje w takim „przewartościowaniu wartości” i subtelnych pointach. U Brzechwy przeważa część wierszyków osnuta jest na trawestacji znanych powiedzonek, nadawaniu im nowego konkretnego sensu. A więc śledź i doraz zjadają dosłownie bezczk soli, by wypróbować przyjaźń; jeź z „igiel robi widły”, a poniedziałek „szuka kota w worku”. Obaj autorzy lubują się w igraszkach dźwiękowo-słownych. „Komar przekomarza się z komarem”, „raki winkiem się raczą”, a „słówka” igrają ze „słufkami” (Tuwim), „Żuraw łyła żurawinę”, a „żółwie gubią „i” (Brzechwa). U Tuwima te zabawki etymologiczne są, jak w „Zieleni”, same sobie celem, u Brzechwy służą do wydobycia efektów humorystycznych i dlatego wierszyki jego mają u dzieci większe powodzenie. Już jednak następny tomik Brzechwy „Kaczka dziwaczka” po dwukrotnie wydanym „Tańcowała igła z nitką” wykazuje w pełni jałowość tego typu twórczości. Z trzech zbiorów Tuwima zawierających krótsze wiersze (dłuższe w „Lokomotywie” są niewątpliwie lepsze) dałoby się złożyć zaledwie jeden tomik dla dzieci odpowiedni, zawierałby on jednak wierszyki najmniej pomysłowe, banalne, bez wartości, w rodzaju „Warszawy”, „Listu do dzieci”, „Dyżia nauczyciela”. Wierszyki Tuwima prawdziwie czyste dla dzieci, są mało oryginalne i nieciekawe, a te, które są interesujące i posiadają wartość artystyczną stają się utworami „o dzieciach nie dla dzieci”, tematem ich bowiem są obserwacje psychologiczne poczynione na dzieciach, lecz podane z punktu widzenia doświadczeń człowieka dorosłego. Utwory tego typu są tak samo skondensowane w swej mądrości życiowej jak bajka (apolog), którą kiedyś z racji jej zawartości dydaktycznej uważano za najbardziej odpowiednią dla dzieci, nie zastanawiając się nad tym, że nonsensem jest wymagać od nich zrozumienia ciągłych aluzji do systemu wartości dostępnych tylko dla tych, którym lata dały doświadczenie. Z czasem zrozumiemy, że dla dzieci o wiele odpowiedniejszy jest utwór oparty na motywach baśni ludowej, pełnej cudowności i nieprawdopodobieństw, niepozabawionej także naiwnego sensu moralnego. Walka ze szkodliwą fantastyką baśni dla dzieci nie powinna się powtórzyć nawet w okresach największego realizmu, gdyż prawo do bezsensu w utworach dla dzieci — zwłaszcza młodszych — jest uzasadnione ich światopoglądem magicznym.

ności poetyckich (Konopnicka). Dla dzieci piśmi się wówczas w oparciu o znajomość psychiki dziecięcej, z troską o artyzm formy i estetykę wydania, wkłada się w tę pracę rzetelny wysiłek pedagogiczny. W pierwszej ćwierci bieżącego stulecia powstają klasyczne utwory literatury dziecięcej: „Na jagody” Konopnickiej, „W Wojtusiowej izbie” Porazińskiej, „Dzieci Pana Majstra” Rogoszołówny. I wówczas jednak — poza tymi przejawami „sztuki syntetycznej” — toczyły z jednej strony swój nurt popularne i taniutki „Moje książeczki” Arcta, „Zajmujące czytanki” i „Mała biblioteczka”, a z drugiej arystokratyczne utwory młodopolskiej symboliki — baśnie Bronisławy Ostrowskiej, Aleksandra Szczęsnego, Andersena, w luksusowym wydaniu z przepięknymi ilustracjami Dulaka, wprowadzające dziecko w niezdrówy, przesubtelniony świat.

Zjawisko zbliżenia się twórczości dla dzieci do literatury dla dorosłych, nie osłabło po wielkiej wojnie, przeciwnie, stało się objawem poniekąd oficjalnym. Literatura dla dzieci przeżyła w okresie powojennym zarówno zwrot do „szarego człowieka”, jak skłonność do podawania tendencji społecznej w formie reportażowej. Obojętne nazwiska, które wybiły się przeważnie na terenie twórczości dla dzieci, jak Korczakowska, Krzemieniecka, Themersonowie i inni, spotykamy o wiele więcej znanych z literatury pięknej, jak Tuwim, Iłakowicz, Zarembina, Januszewska, Makuszyński, Swirszczynska i inni. Zerwano bezpowrotnie z postawą laskawego „dawania z siebie” na użytek dzieci, z poniżającym protekcyjnizmem. Literatura dla dzieci nie tylko zyskała równoprawione miejsce wśród innych sztuk, lecz stała się szczególnie pożądaną: wytworzyła się jak gdyby niepozabawiona snobizmowa moda na próbowanie sił swych w tej dziedzinie. Aby tworzyć dla dzieci, nikt już nie potrzebował się zniżać, ani obawiać pobłażliwego a nieraz pogardliwego przytyku, że kompensuje w ten sposób poronione ambicje literackie; okazało się bowiem coś wręcz przeciwnego: że trzeba było po ten owoc sięgnąć wysoko, i to dla niektórych za wysoko, gdyż jeśli zaczerpnąć porównania ze znanej baśni o czarodziejkiej jabłoni, dziedzin twórczości dla dzieci okazała się podobna do złotych jabłek, które może zerwać tylko dobra córka, a przed niepowołanymi dłońmi uciekają w górę...

O DZIECIACH NIĘ DLA DZIECI

Trzeba przyznać, że w okresie międzywojennym 1918—1939, uchylnio duży krok naprzód w dziedzinie organizacji czytelnictwa dzieci. Największą zdobyczą była sieć dziecięcych bibliotek publicznych, które miały ogromne znaczenie w rozpowszechnianiu nawet najdroższej książki między niezamożną dziatwą. Tygodniki dla dzieci, jak „Słonko”, „Płomyczek” miejski i wiejski, redagowane w du-

DO DZIECKA POPRZEZ DZIECKO

Kornel Czukowski, autor pierwszej i do-
tąd jedynej poetyki normatywnej dla dzieci,
opierając się na wnikliwej obserwacji i zna-
jomości psychiki dziecka do lat pięciu —
podaje szereg wskazań, jak pisać, by trafić do
najmłodszych. Twórczość dla dzieci powinna
wypływać w sposób naturalny ze świata ich
pojęć; autor broni nonsensów w literaturze
dla dzieci, lecz nonsensów pełnych naiwności
i prostoty, a nie opartych na intelektualnych
trawestacjach; twórczość dla dzieci winna o-
pierać się na ich własnym prymitywnym ję-
zyku, który charakteryzuje żywość, śpiew-
ność, rytmiczność; autor analizuje nawet sto-
sunek procentowy przymiotników do czasow-
ników, najbardziej w mowie dziecka uprzy-
wilejowanych. Z tego ducha zrodzone, nie-
zrównane wiersze dla dzieci Czukowskiego
nie nadają się do przetłumaczenia; wyrastają
one organicznie z dźwiękowych i rytmicznych
właściwości języka, dlatego też każdy naród
musi wychować sobie takich poetów. Tuwim
dążył najwidoczniej do wytworzenia w pol-
szczyźnie analogicznego stylu, lecz zasadnicze
różnice występują wyraźnie w utworach opa-
rtych na tym samym co u Czukowskiego tema-
cie. W „Płataninie” rosyjskiego autora „świn-
ki miauczą”, „kurki krakają”, „niedźwiedzie
pieją”, w „Cudach i dziwach” Tuwima „spadł
kiedyś w lipcu śnieżek niebieski, szczerkały
ptaszki, ćwierkały pieski”, lecz u pierwszego
ład przywraca zabawnie mentorska przemo-
wa zajączka: „Komu nakazane miauczeć, nie-
cie nie szczerka, komu nakazane szczerkać, nie-
cie nie miauczy”, u Tuwima wszystko okazuje się
wizją; powstała w chwili przymknięcia po-
wiek; w ten sposób zdarzenie, które dziecko
traktuje jako rzeczywistość, nieoczekiwane
przenosi się w świat subiektywnych doznań.
Podobnie „Myszka Mausi” Czukowskiego wy-
zyskuje w urocy sposób dziecinną skłonność
do tworzenia bezsensownych słów („zubansi,
kotansi”), a „Pan Tralaliński” Tuwima to zbyt
długo przewlekająca się i sztuczna dźwiękowa
zabawka, którą nawet dzieci uważają praw-
dopodobnie za... zbyt dziecinną. Trawestacje
słowne, jeśli mają wywołać właściwą reakcję
u dziecka, nie mogą mieć nic z jałowego wer-
balizmu.

W poetyce Czukowskiego literatura dla
dzieci traci poniekąd charakter sztuki stoso-
wanej. Konieczność zniżania się do pojęć
dziecka stanowi dla niego jak gdyby jeden
z kanonów estetycznych. Akcent dydaktyczny,
przewyciężony humorem i dostosowany do
pojęć dziecka, podkreśla on także jako formę,
przekształca w wyraz artystyczny. Dlatego też
ma zupełnie prawo powiedzieć: „Poeta dla
dzieci, dogadzając ich wymaganiom, nie może
zapominać o wymaganiach stawianych w danej
epoce literaturze dla dorosłych. Poezja dla
dzieci musi być także i dla starszych poezją”.
Dla dorosłych, ale nie tylko dla dorosłych, dla
dzieci, ale nie tylko dla dzieci, gdyż nie jest
to istotne, jak pisze anonimowy autor arty-
kułu w „Czasie” — „najwyższa sztuka”?

O „ZAMÓWIENIE SPOŁECZNE”

W okresie okupacji niemieckiej niektóre
księgarnie (Krzyżanowskiego, Kamińskiego,
Friedleina, Piżera) wydawały nowe książki
dla dzieci, inne szły drogą przedruków (Ge-
bethnera „Na jagody” w cenie... 280 zł.) i mo-
że nie sądziłobyśmy tak surowo zerwania tej
pieczęci milczenia, gdyby wśród wydanych
pozycji znalazła się jakaś prawdziwie warto-
ściowa. Okazało się jednak, że „nawet dla
dzieci” nie można było wybrać wąskiej dróżki
dozwolonych wypowiedzi, by nie były one ja-
łowe, pozbawione najgłębszych korzeni, nie-
smaczne w swej beztreściowości. Cóż bowiem
można było powiedzieć dzieciom, nie dotyka-
jąc spraw pałacowych, o których ciągle mówiono,
którymi karmiła się ich wyobraźnia, jak:
aresztowania, łapanki, kartki żywnościowe,
szmugiel, a także, jak często — nieobecność
ojca, praca matki: ponad siły, borykanie się
codzienne, a nieraz sieroctwo... Nawet uśmiech,
nawet fantastyka musiałaby opierać się na
motywach wojny, bombardowania i hen, wy-
soko w górze — polskich samolotów, by za-
spokoić świat ówczesnych wyobrażeń dziecka.
Literatury takiej nie było i być nie mogło,
a teraz obróciła się karta historii i wraz z nią
zapadła się dziedziina ciężkich wojennych prze-
żyć, tłoczonych duszę dziecka. Należy pamię-
tać, że zapadła się ona szybciej i bardziej
bezwrotnie niż u człowieka dorosłego i że
wyszukiwanie tych motywów w literaturze
dla dzieci byłoby pogłębieniem, akcentowa-
niem destrukcyjnego wpływu, który ten okres,
niestety, wyrzeźbił. Przeciwwstawianie
się fał wspomnień wojennych, reportaży, pa-
miętników, które pojawiają się i pojawiać
będą w literaturze dla dorosłych, byłoby walką
z wiatrakami; zbyt długo nakładano tamę
uczuciom i słowom, by teraz móc powstrzymać
potrzebę wypowiedzenia tego, co bolało naj-
bardziej; w ten sposób zresztą, przez konfro-
ntację doby ucisku moralnego i stagnacji inte-
ktualnej z dzisiejszą rzeczywistością, tworzy
się podbudowa nowego światopoglądu, nowa
hierarchia wartości. Należy się jednak strzec
nadużywania reportaży wojennych na użytek
dzieci, co da się zaobserwować w odrodzonej
produkcji czasopiśmienniczej. Mamy obowią-
zek otworzyć przed najmłodszymi nowe mo-
żliwości przeżywania, nowy świat, pełen war-
tości pozytywnych i radosnych. Jak najmniej
już walczyć z tym, co było („Jedna zawsze dla

nas droga, wygnąć z naszej ziemi wroga, żeby
szczęśliwi”), a jak najwięcej momentów konstruk-
tywnych: „Każdy dzieciak z osobna, to kru-
szyna jest drobna, ale gdy się stu nada, to już
siła nielada” (wyjątki z wierszyków Krzemie-
nieckiej i Świrszczyńskiej umieszczonych
w pierwszym numerze „Płomyczka”, Warsza-
wa, 1945).

Utwory dla dzieci muszą wyrastać z naj-
istotniejszych przejawów dzisiejszego życia,
muszą być pisane „na zamówienie społeczne”,
a co za tym idzie, dopracować się nowego
stylu, nowego wyrazu artystycznego. Tym-
czasem ten nowy styl nie zarysowuje się je-
szcze. W czasopiśmie dla dzieci podjęto —
i jak na początek słusznie — szlachetną pro-
blematykę niektórych utworów przedwojen-
nych („Szanuj pracę” Heymanowej, opowia-
dania Stefana Themersona, „Nasi bracisz-
kowie”, „Nasi ojcowie pracują” Zarembiny),
lecz sposób jej podania przypomina wierszo-
wane ulotki (o których mówi Kott), pisane na
zamówienie... Wydziału Informacji i Propa-

HANNA MORTKOWICZ-OLCZAKOWA

Wspomnienie

Namacalna po prostu uroda i symboliczny
prawie sens tamtej godziny nie daje się u-
trwalić w żadnych słowach. A jednak nachy-
lam się ku niej poprzez sześćdziesięcioletni dystans
dzielącej mnie od niej męki, żeby w wibru-
jącej światłości dnia zobaczyć jeszcze raz
zwrócone ku sobie profile młodziutkich twa-
rzy i odwiecznych gór. Błękit przejrzysty, go-
rący, prawie jaskrawy, taki, jaki bywa tylko
w lipcu na Podhalu, stał wtedy między Tatra-
mi a gromadką dziewcząt i chłopców siedzą-
cych na zboczach. Świeże pokosy traw, złocieni,
mieczyków, dzwoneków wiodły wokoło, pach-
nąc mocno. Potem, gdy słońce poczęło się zni-
żyć, ziemia i niebo nabrały rumianych kolo-
rów, a połyskliwa, krystaliczna, ziarnista ścia-
na Giewontu i otaczających go gór zaświeciła
jaskrawo różowym tonem. Różowość zabar-
wiła także główki skoszonych kwiatów, po-
liczki młodzieży i białawe skrzydła polatują-
cych nad łąką motylków. Tych motyli było
bardzo dużo. Ktoś chwycił jednego z nich za
kruche skrzydełka jak gdyby zrobione z kre-
py i puścił wolno, ze śmiechem. Ktoś inny
przypomniał, że takie właśnie motylki poja-
wiły się w nadmiarze na Podhalu latem 1914
roku. Potem wybuchła wojna...

A teraz znów...

Wojna! Rok 1914! Roześmiano się beztrósko.
Rok 1914 był zbyt dawno — całe ćwierć wieku
wstecz — w zamierzchniej po prostu przeszło-
ści... Wojna? To pokolenie, urodzone w pierw-
szych latach ustalonej niepodległości, nie za-
znało jej nigdy, nie rozumiało jej wcale... I za-
dne prognozy polityczne, żadne ostrzeżenia
wtajemniczonych, wstępne artykuły gazet,
sygnały depesz nie potrafiły zaćmić pogodno-
go horyzontu tej podhalańskiej sielanki, zasa-
pić spojrzeń skierowanych ufnie w — przy-
szłość.

Rocznik 1921, 1922... maturzyści z 1939 roku.
Dojrzałość upragniona, wczesna, cała nasta-
wiona na radosny rozpęd dalszego rozwoju,
zaciekłość rozbudowanych myśli, fantazja po-
etyckich skojarzeń, czar bezpośredniości, nai-
wność maskowanych wrzusek.

Gdy myślę o wdzięku i powadze pierwszej
młodości, muszę myśleć o nich — o tych dwóch
chłopcach i trzech dziewczynkach, siedzących
w lipcu 1939 roku na podhalańskiej łące. Nie
idealizuję bynajmniej czasów ani środowiska
jakie ich wydały, ani tego dwudziestoletniego
okresu pokoju i rozbudowy, które w ramach
pozornego bezpieczeństwa i zaufania, w wa-
runkach dobrobytu hodowało ich na lojalnych

TADEUSZ RÓŻEWICZ

DROGA NA ZACHÓD

Kierownik ruchu owinął się dokoła
czerwonej chorągiewki,
zawidowca zagwizdał jak kos,
pociąg
wyłamał się
ze szlaci.
Na stopniach przycupnął
zwinął w pięć
kurczowo
malec,
drugi: obok
jak linoskok biegł
zonglując złotymi kótkami
obwarzanków,
z wyciągniętej dłoni
wypuszczał powoli
wagon za wagonem.
Chmury podawały
błękit dalej.

gandy. Jest to znowu nawracanie do niewy-
brednego dydaktyzmu czasów jachowiczow-
skich, choć w zmodernizowanej formie.

Dzisiejszym utworem dla dzieci daleko do
tego, by były — według wymagań Czukow-
skiego — i dla starszych poezją, by wyrastają-
ce świata przeżyć dziecka, w formie bliższej
fantastycznej baśni niż realistycznego repor-
tażu podawały treść przystosowaną jednak do
życia społecznego przez zawartą u podstaw
hierarchię wartości. Lecz nie wymagajmy zbyt
wiele. Jeśli proces zdobywania tych kultural-
nych wartości jest dopiero w fazie stawiania
się i przemian, nie można się dziwić, że, zwi-
szcza spopularyzowane i uproszczone, wpada-
ją nieraz w slogany i szablon. A jednak na-
wet w tych surowych, na gorąco i bez pełnej
odpowiedzialności twórczej pisanych powiast-
kach i wierszykach kryją się twórcze zarodki
na przyszłość, gdy luksusowe przedwojenne
wydawnictwa cechowała przesubtelnością, ja-
łowa bezideowość kończącej się epoki...

Krystyna Kulickowska

obywateli państwa. Przyszłość, do której do-
rastali, była powszednia, realna, ściśle ujęta
w kanony praw społecznych i politycznych.
Przeżywana rzeczywistość wcześniej już odu-
czała egzaltacji, nie przesłaniała wzroku uro-
jeniami idei, i od dzieciństwa kazała trzeźwo
oceniać gorzyc i dysonanse narodowego życia.

Mały chłopiec, przechodząc z klasy do kla-
sy, wyrastał na harcerza z szeregowego PW,
czy junaka z hufców pracy, podchorążaka,
niejako z urzędu. Być żołnierzem Rzeczy-
pospolitej — to była zwyczajnie lekcja do od-
robienia a nie szczytne powołanie. Dwaj chłop-
cy, o których mówię, — powiem po prostu jak
się nazywali — Krzysztof Baczyński i Jan Ry-
szard Bychowski, liczyli się poważnie z tym
obowiązkiem — rojąc o przyszłym swym
życiu. Służba wojskowa. Ma się rozumieć trzeba
ją było odbyć od razu, włączyć jako konieczny
punkt do planu zamierzeń. Ale istotna treść
życia, to było co innego: nauka, sztuka, mi-
łość. Nie byli typami społeczników ani poli-
tyków, ale młodymi intelektualistami, huma-
nistami o poetyckim stosunku do świata.
Chcieli się oddać ufnie sprawom poznania i u-
czucia, mówili o jutrze jako o bujnym źródle
doświadczeń i wrzusek, o świecie jak o wiel-
kim boisku pod wyścig umysłów i serc. Sie-
dząc wtedy z dziewczętami w różowo-złotym
słońcu, na skoszonym sianie, jasnowłosi, opa-
leni, w swych króciutkich shortach i białych
sportowych koszulkach, podobni byli do du-
żych, nieśmiałych jeszcze ptaków, które za
chwilę rozpostarą skrzydła i podlecą... I nawet
ja, dorosła i podejrzliwa, czujnie walucho-
na w pomruki narastającej wokoło wojny, nie
przeczuwałam, że im to właśnie sądzony jest
krótki, podniebny lot Ikarów. A przecież to
było z góry wiadome i przesądzone. To oni
właśnie — młodzi i prawi, poważni i czuli, nie
znieprawnieni obłudą, widzący życie bez złu-
dzeń, poszli i spełnili swój obowiązek żołnier-
ski prosto i do końca.

W tym miejscu mogłabym przekształcić mo-
je opowiadanie w nowelę. Rozszerzyłby kulisy
pogodnej perspektywy i ukazał wokoło wie-
lorakość śmierci, czchających na tę skupioną
w słońcu myśli zamyślenia gromadkę dzieci.
Mogłabym pomnożyć postacie mych bohater-
ów, by prowadząc ich do śmierci wieloma
drogami, objawił rozmaite rodzaje wojennych
męczeństw, które wytrafiły w zaczątku całe
to pokolenie młodzieży.

I przyznam się, że koncepcja takiej rewii
najpiękniejszych naszych nadziei „zruconych

na szaniec jak kamienie” snuła mi się po
głowie wtedy, kiedy sama, zagubiona wśród
niebezpieczeństw wojennych nie wiedziałam
już — i jeszcze — nic o losach Krzysia, kon-
spirującego i piszącego wiersze w Warszawie,
Rysia, piszącego wiersze i studiującego w Ame-
ryce, Janeczki, Krysi ani Marysi.

Ale samo uświadomienie sobie tego, co grozi
każdemu z tych młodziutkich istnień, wyda-
wało mi się już wyzwaniem rzuconym losom.
Więc milczałam, przesylnie...

A teraz, kiedy już wiem, że Rys zginął bo-
hatersko jako pilot w locie nad Niemcami,
że Krzys pęknął na barykadzie warszawskiej,
a Krysię zamęczono w Treblince — umiem
pisać tylko o nich i tylko szczerą, skąpą
prawdę.

Nie potrafiłabym włożyć w ich tak niegdyś
świeże, dziś zamknięte usta, żadnego z przy-
puszczalnych słów, które mogłyby być we-
wnętrznym krzykiem ich serc i głosem całego
ich pokolenia, a których nie dosłyszałam intu-
cją ani wtedy, ani nigdy później.

Piszę to wspomnienie o dwóch chłopcach.
Bo tych dwóch widziałam w pierwszym roz-
winięciu wpołyrosłych skrzydeł, w zaraniu
twórczości i uczucia, gdy pochylali swe jasno-
włose głowy nad kwiatem i nad książką.
Wspominam ich dlatego, że jeden z nich był,
wedle powszechnej opinii, chlubą i przysz-
łością najmłodszej polskiej poezji, drugi zaś był
mi najdroższy ze wszystkich chłopców swego
pokolenia...

Ale obok ich imion mogłabym tu położyć
każde inne imię: Andrzej, Marka, Jurka,
Stasia, Tadzia, Janka, Mietka... Krysi czy
Ewy... Całe litanie imion ich rówieśników,
kolegów, przyjaciół... Mogłabym mówić ogólnie
o tym jedynym pokoleniu naszych dzieci,
„co nie urodzone w niewoli, nie okute w po-
wiciu”, pielęgnowane i kształcone w świadome
pełni swych słusznych praw obywatel-
skich — weszło bez wahania pod śmiertelny
obstrzał męczeństwa i bohaterstwa. Mogła-
bym wspominać ich matki — „matki Polki”,
które się zdziły przez kilkanaście lat, że tra-
giczny wiersz Mickiewicza narzędził szcze-
śliwie ich nie dotyczy, i które potem każde
głoszono słowo poczuły w sercu jak za-
truty miecz.

Ich szczęśliwe, hodowane, kształcone dzieci,
z całym ładunkiem pokładanych w nich na-
dziei, z całym kapitałem niewyzyskanych mo-
żliwości padły w ogniu rycerskiej swej ofiary.

Polska powitała ich złożonych na tarczy jak
nieludzka w swym samozaparciu Spartanka.
Może będzie oplakiwać przez lata ich utratę,
pozbawiona wkładu ich krwi — wyciekłej
z żył w męczeńskiej walce.

I oto stajemy w obliczu tragicznego i wiecz-
nego w naszym kraju konfliktu. Romantyzm
polski przez całe lata uczył nas pogardę lek-
kliwego życia i zachwytu dla heroicznej
śmierci. Pozytywizm polski kazał nam cenić
ponad wszystko bogactwa naturalne zawarte
nie tylko w ziemi, ale i w pracy człowieka.

Katastrofa wojenna zachwiała tragicznie
równowagą tych wartości. O ważności i celo-
wości tych dwóch orientacji ideowych zde-
cydował po prostu impuls pokolenia, które,
chowane rzeczowo, pozytywnie, nieromantycz-
nie — zdecydowało się na walkę i na śmierć
ze spontaniczną i prostą łatwością.

Nie jesteśmy Spartanami. W gruncie naj-
boleśniej mamy im to za złe. Nie umiemy
przeboleć osierocenia ich rodzin, opustosza-
nych domów, zmarnowanych nadziei, zaprze-
pazczonych talentów i zdolności.

Wracamy myślą jak zatruci do tych chwil
węzłowych ich młodości, chwil jeszcze pro-
miennych i łaskawych, pełnych energii i na-
dziei, od których wszystko mogło się być po-
toczyć inaczej.

A jednak wojna została wygrana. Hitlerizm
upadł dzięki obojętnej śmierci milionów takich
właśnie naszych dzieci.

Poprzez Rubikon cierpienia, którego nie prze-
kroczyły ich dwudziestoletnie stopy, patrzę
w tamtą chwilę i w rysy wpołydziejących,
czystych, jasnomych twarzy. I czasami zdaje mi
się, że poprzez przytłaczającą słońca perspek-
tywę chwytam uśmiech. Nie tamten uśmiech:
nieświadomy, ufny, sprzed sześciu lat...
Uśmiech przecucia i porozumienia, powagi
i męstwa, uśmiech wtajemniczenia w głęboką
prawdę poezji i bohaterstwa. I ten uśmiech
mówi mi, że jednak mimo wszystko — oni
mieli rację!

Hanna Mortkiewicz-Olczakowa

ZABAWA OGRODOWA

Pamięci W. K.

Księżycowy wieczór
słodki,
w szklance jasny
krążek cytryny.
Smak ust samotny.
Lampy dojrzewają
w ciemności
jak słońca...
Wiatr unosi się wyżej
czerwony balonik
w aureoli.
Zegar wydzwonił godzinę.
Każde uderzenie
serca boli.
Kapelmistrz bałutą
z nocy czarną
z muzyki wyzwoił ryk syren.
Pod dłonią — rozwarła
dla dłoni
zapada
wirujący stolik.

W poprzednim (49) numerze „Odrodzenia” z dnia
4 listopada: Celina Bobińska: Od Herzenia do Le-
nina. — Władimir Majakowski (przetłumaczył Adam
Wazyk): Włodzimierz Illicz Lenin (fragment poem-
atu). — Mieczysław Jastrun: Ruiny katedry świę-
tego Jana. — Roman Bratny: Pokolenia. — Józef
Stachowski: Do brata. — Artur M. Świniarski: Teatr
przyszłości. — A. B. Dobrowolski: Sprawa wy-
kształcenia ogólnego inteligencji. — Tadeusz Brzoz-
wa: Podróż do kresu światłości. — Paul Valéry (prze-
łożył Artur Sandauer): Fragment „Narcyza”. — Z wy-
stawy bieżącej akwarel i rysunków w Krakowie:
Czesław Rzepiński: Pejzaż z Łuczanowic (repro-
dukcja). — J. Kronika kulturalna ZSRR. — Kazimierz
Kozłowski: Warszawa w gruzach. — Miesz-
czyński: Mapa Śląska. — z: Przegląd
prasy. — Tadeusz Brzozwa: W teatrach krakowskich. —
Zygmunt Fijas: Wehikuł czasu. — Korespondencja
(ks. Konstanty Michalski). — b: Kronika kulturalna
Francji. — J. Silva rerum. — 7 lustracji. — 8 stron-

JERZY ANDRZEJEWSKI

Przed sądem

Działo się to w pierwszych dniach października trzydziestego dziewiątego roku.

Na wszystkie pytania leśniczy rudawickich lasów odpowiadał jednakowo Broń, którą nieopodal leśniczówki znaleźli Niemcy, pozostawili byli poprzedniego dnia żołnierze polscy z dywizji rozbitej pod Zamościem Piotr, przywykły od wielu lat do samotniczego życia, był zbyt całą sprawą zaskoczony, aby zdołał na oczekiwaniu wymyślić wiarogodne kłamstwo. Zeznał zgodnie z prawdą: wszystkie karabiny i rewolwery wraz ze skrzynką amunicji zakopał sam, bez niczyjej pomocy. Lecz w to właśnie Niemcy z kolumny pancerniej wierzyć nie chcieli.

Oficerów było wśród nich dwóch, obaj poniżej trzydziestki. Siedzieli za stołem nie zdający nieprzemakalnymi płaszczami i szturmowych kasków. Już tym bojowym ubraniem stwarzali wrażenie, że na przedce złożony sąd połowy zakończy się natychmiast. Piotr stał po przeciwnej stronie stołu, pomiędzy dwoma roslimi żołnierzami. Sklepiarz z pobliskiej Rudawicy, Kaczyński, położył i zastraszone, służył kiepską niemczyzną za tłumacza.

Zadawał pytania starszy z oficerów, porucznik. Jego ciemna twarz sportowca o rysach twardych i regularnych wyrażała chłód i pogardę. Drugi oficer, płowy blondyn o wyglądzie pruskiego junkra, wsparłszy się szerokimi plecami o ścianę, obojętnie spoglądał przez ramię w okno. Małe szybki odsłaniały pokrutowany krajobraz: brunatne błoto podwórza, płot z chrustu, rdzawy skrawek nieba na ukos przecięty studziennym żurawiem, dwie czarne jabłunki, dalej las sosnowy nasycony mglistą niebieskością październikowego popołudnia.

Piotr nic z tego nie widział. Od początku śledztwa wpadł w się uparczywie w podłogę. W miejscu, gdzie stał, widniały ślady błota naniesionego wczoraj wieczorem przez uciekających żołnierzy. Przynięte grudy wsiąkły częściowo w chropawę deskę podłogi. Żołnierzy było pięciu. Wszyscy byli wychudzeni, brudni i zarośnięci, twarze mieli szerniałe ze zmęczenia, buty podarte, a płaszcze uszargane w błocie i przesiąknięte wilgocią. Krótka siedzieli. Na resztki czystego rozumca i starej słoniny rzucili się z żarliwością ludzi od wielu dni wygłodniałych. Było to wszystko, co Piotr posiadał do zjedzenia. W ciągu wrzesnia ubogie gospodarstwo leśniczówki doszczętnie zostało obdobre przez tłumy wędrujących cywilów.

Wieczór był podobny do obecnego. Z daleka, poprzez spokój lasu, niesło się głuche dudnienie artylerii. To w okolicach Kocka bronila się otoczona dywizja generała Kleberga, ostatnia z rozbitej i pokonanej armii polskiej. Do rudawickich lasów Niemcy jeszcze nie dotarli. Spodziewano się ich jednak każdej chwili. Żołnierze, choć ledwie się trzymali na nogach, nie chcieli nocować w leśniczówce. Znużenie i lęk przed dostaniem się do niewoli podsycały ich niepokój. Coraz to których zrywał się i podchodził do okna, albo wyglądał na podwórzu nastuchując, czy od strony pobliskiego traktu nie dobiega turkot czołgów. Odeszli nim się ściemniło. Żaden z nich zresztą nie myślał o powrocie do domu. Zamierzali z powrotem cofnąć się na południe aż ku Karpatom, aby tamtejsze przedrzeć się przez pozycje niemieckie ku granicy węgierskiej. Jednak broni, która ocalili, nie mieli siły więcej dźwigać. Zatrzymując przy sobie każdy po dwa rewolwery, karabiny i skrzynkę z amunicją pozostawili w sionce. Piotr spytał, co ma z tym zrobić. Poradzili mu, żeby zakopał. Miel nadzieję powrócić tu niebawem. Piotr zgodził się.

Noc nastąpiła, gdy zabrał się do zakopywania. Wybrał miejsce jak mu się zdawało najlepsze, na końcu podwórza przy płocie za studnią. Ze strychu ściągnął starą skrzynię, wymościł ją sianem i broń starannie wewnątrz pokładął. Pracował w zupełnych ciemnościach, przyświecając sobie latarką osłoniętą starym galganem. Kopanie szło ciężko. Ziemia była gliniasta i rozmięta od ostatnich deszczów. Poza tym skrzynia miała znaczną wysokość, więc dół trzeba było wykopać co najmniej na głębokość metra. Zajęło to kilka godzin. Gdy zbudził się nad ranem, szosa ściągnęła niemieckie oddziały pancernie. Wstał i na kuszale narzuciwszy kożuch, wyszedł na dwór sprawdzić, czy równo i dokładnie zasypał był wykopany dół. Wydało mu się, że tak. To go uspokoiło. Jednak mimo znużenia nie kładł się więcej. Cały ranek przewalał się bezczynnie koło domu. Bez przerwy dudniły w głębi lasu nieprzyjacielskie czołgi. Od turkotu samochołów i motocykli drżało powietrze. Przechodząca groza szła od owej niewidzialnej siły, która niby potop żelaza i stali zdawała się swoim ogromem miażdżyć ziemię i życie. Dzień był, jak poprzednie, wilgotny i suchy. Czwiliami zrywał się ostry, jesienny wiatr.

W południe przyszedł z Rudawicy Karol Walicki. Chciał uprzedzić Piotra o Niemcach. Przyniósł poza tym ćwiartkę chleba, parę jajek i kawałek masta. Piotr zaprowadził go na podwórze i pokazał miejsce, w którym

wykopany został dół. Wolał, żeby prócz niego jeszcze ktoś drugi wiedział o ukrytej broni.

Karol krótko zabawił. Spieszył się do domu nie chcąc dłuższą nieobecnością niepokoić matki, wyleknionej przybyciem Niemców. Zatem Piotr znowu został sam. Czekał. Dopiero późnym popołudniem zajechało przed leśniczówkę kilkunastu szturmowców na motocyklach. Z ich gwałtownych krzyków i groźnych twarzy Piotr domyślił się, że dopytują się o broń i polskich żołnierzy. Wszystkiemu zaprzęcał. Był spokojny o swoje bezpieczeństwo.

Tymczasem żołnierze z gotowością do strzału rewolwerami rozbiegli się po domu i zaczęli przeszukiwać kąty. Kilku poszło do stodoły. Inni rozglądali się po podwórzu. Piotr widział przez okno, jak jeden z nich — młody, wysoki chłopak — nudząc się najwidoczniej bezczynnością, zawędrował na koniec podwórza. Jednak nie uczuł niepokojem nawet wówczas, gdy tamten przystanął dokładnie w miejscu skrywającym skrzynię. Nagle żołnierz pochylił się i obcasem zaczął ostrożnie uderzać w ziemię.

— Heinrich! — krzyknął nie odwracając się. Nadbiegł drugi żołnierz. Niebawem było ich kilku.

Od tej chwili — nie zdawał sobie sprawy, jak dawno to być mogło — Piotr zapadł w odęty. Wprawdzie na zewnątrz wydawał się spokojny, lecz we własnym poczuciu zachowywał się w taki sposób, jak gdyby śnił sen niemożliwy do przerwania. Wnikał w głuchą ciemność, która wciągała go w swój krąg bez dna, niby ciemne zwierciadło odbijające ruch dreczących cieni.

W pewnej chwili porucznik po raz drugi zadał Kaczyńskiemu to samo pytanie. Obecność ostrych i gardłowych dźwięków pogłębiała w Piotrze wrażenie snu. Jednak nie śmiał podnieść oczu. W siedzących za stołem oficerach leżał się odnaleźć wrogich sędziów, w Kaczyńskim dobrze znajomego sklepiarza, a w ciemnościach izby — własnego domu.

Tymczasem Kaczyńskiemu coraz trudniej przychodziło opanować drżenie. Stał z pochyloną głową, gruby i przysadzisty, raz po raz zacierał ją spotańnię, z zimna czerwone dłoń. Dopiero gdy porucznik raz jeszcze powtórzył ostatnie pytanie, przestał trzeć ręce. Po chwili nachylił się bokiem ku Piotrowi i zająkując się zagadał ku niemu szybko.

Piotr nic nie rozumiał. Jednak nie podniósł głowy. Chłód obezwładniał mu stopę i dłoń. W piersi czuł pustkę. „Teraz obudzę się!” — pomyślał. Szarpnął nim niepokój, że musi się to stać natychmiast, aby na czas zdążyć zakopać zwaloną pod ścianą w sieni broń.

Wtem usłyszał stłumiony szept Kaczyńskiego.

— Panie leśniczy!

Sklepiarz stał tak blisko, iż buty jego znalazły się w zasięgu widzenia Piotra. Były to stare, niezdarne i białe oblepione kamasze. Spod jednej nogawki spodni, postrzępionych i również zabłoconych, widać było brudną taśmę kalesonów. Przypatrując się niekształtnym butom spytał, śniąc własny głos:

— Co takiego?

Przełykając ślinę Kaczyński poruszył szyję.

— Powiada, że ostatni raz pyta.

— Ostatni raz? — powtórzył Piotr.

— Kto panu pomagał, chce wiedzieć.

Piotra ogarniał coraz przykrejszy chłód. Zacisnął zęby, żeby nie drżeć.

— Nikt mi nie pomagał — powiedział wreszcie dla samego siebie, nieoczekiwanie wyraźnie i głośno. — Nikogo nie było.

Cisza, która zaległa po jego słowach, wydała mu się bardzo długa. Na koniec Kaczyński jakąś się poczęła tłumaczyć. Piotr pilnie wsłuchiwał się w te niezdarne i chwylne dźwięki. Gdy ścisły, usłyszał spokojny głos porucznika. I naraz gwałtowne uderzenie od dołu w szczękę odrzuciło mu głowę do tyłu. Nim zdążył zrozumieć, co się stało, otrzymał drugi, silniejszy jeszcze cios w twarz. Oszołomiony bólem zatoczył się. Chcąc zaś zachować równowagę odruchowo chwycił stojące z boku krzesło. Upadło. Wtedy tracąc jedyny punkt oparcia runął ciężko na ścianę. Uderzenia spadały na niego, jedno po drugim. Nie bronił się. Nawet nie próbował osłonić się ręką. Pomyślał tylko, że to, co przeżywa, już nie może być snem. Lecz ból zatępił myśl ledwie zdążyła przeniknąć w świadomość. Wszystko w nim stało się torturą. Nawet krzyk uwiązł w krtani. Miał takie wrażenie, jakby nagle stracił głos. I to wydało mu się najstraszniejsze. Dopiero kopnięcie w brzuch wyrwało mu spoza zacisniętych zębów nieartykułowany skowyt. Zwinął się w kłębek. Wtedy, żołnierz, wzrostem o wiele nad nim górujący, chwycił go za ramiona jak kukłę i przyparzył do ściany poczęł podkutym butem kopać z bliska, tłukąc w podbrzusze raz po raz.

Piotr wył. Naraz zachłysnął się i ucichł. Chwyliły go torsje.

— Halt! — skinął spokojnie porucznik.

Gdy żołnierz odstepił, Piotr usunął się na podłogę. Wcisnął w kąty izby z kolanami

podkurczonymi pod zwieszoną głową, wymiotował na siebie. W pewnej chwili uczuł, że go podnoszą z podłogi i sadzają na stołku. Potem chludnięto mu w twarz strugą zimnej wody. Trochę oprzytomniał. Ból jeszcze w nim ćmił, lecz w porównaniu z tym, czym był przed chwilą, wydawał się nieomal ulgą i uspokojeniem. W pokoju było cicho. Błyskała mucha na szybie. Junkier spoglądający przez okno pogwizdywał przez zęby. Na szosie dudniły czołgi. Blżej zawarczał motocykl.

Piotr zgarbiony, rękoma objawszy brzuch, prawie przestał oddychać w obawie, żeby nieostrożnym poruszeniem na nowo bólu nie rozjątrzyć. Naraz poczuł w twarzy ciepłą wilgoć. Gdy machinalnie podniósł rękę, uczuł, że oblepia mu palce kleista, gęsta krew. Płynęła z nosa, niżę namacał rozcięte wargi i pokaleczone dziąsła. Wyprostował się. Zrazu ujrzał wszystko poza rdzawą, rozmiękłą mgłą. „Muszę mieć czoło skaleczone!” — pomyślał obojętnie. Przetarł oczy spodem dłoni. Widział teraz cokolwiek lepiej.

Pierwszy zmierzch szarzał w izbie. Na tle okna i lasu, który sinawą niebieskością podchodził pod dom, sylwetki obu oficerów rysowały się bardzo wyraźnie. Ich nieruchomość i spojrzenia zwrócone spod stalowych kasków w stronę Piotra, lecz mijające go obojętnie jak przedmiot bez znaczenia, upodabniały obu do kamiennych posągów.

Nieco bliżej dojrzał Kaczyńskiego, jego poszarzałą, grubo ciosaną twarz i oczy poza zaczerwienionymi powiekami prawie niewidzące z zalekaniem. Za sobą wyczuł obecność żołnierzy. Odruchowo skurczył się.

Naraz oficerowie zamienili ze sobą kilka krótkich słów. Choć nie chciał tego uczynić, spojrzął na nich. Ból steżał w nim natychmiast. Uczął tylko w głowie lodowaty chłód. Nie mógł poruszyć się, ani zawołać. Nie należał już do siebie. I czując się przez moment umarliym raczej niż żyjącym, zaczął się naraz w groźę ostatniej świadomej sekundy, w jej samotność prawie, nieludzka, przenikająca poza śmierć, w milczenie i w ciemność. Ledwie wydzwignął się z tego zatracenia, zrozumiał, że jest zgubiony i nie ma dla niego ratunku. Aż nagle w to skamieniałe napięcie przerażenia wniknęła myśl, że gdyby mógł teraz znaleźć rękę przyjaznego człowieka, byłby uratowany. Już nie śmierć wydawała się straszną, lecz samotność wobec niej. Strach rósł w nim. Słyszał jak ciemny i bezgłośny ton kołuje w jego głowie coraz prędzej i gwałtowniej. Przestał czuć bicie serca. Istniał tylko w krzyku, który łopotał pod czaszką. Pot wystąpił mu na czoło. „Zwariuję!” — pomyślał. Zdjęty paniką, której nie mógł dłużej znieść, poderwał się ze stołka.

Obaj żołnierze równocześnie pochycili go za ramiona. Szarpnął się. Znowu uderzenia na niego spadały. Lecz nie czuł bólu. Krztusząc się krwią oblepiającą mu gardło i oczy, szamotał się dalej. Strach dodał mu siły. Udało mu się na koniec odtrać jednego z żołnierzy, drugiego pociągnął za sobą w stronę stołu.

Płowłosy junkier przestał patrzeć w okno, a siedzący bliżej porucznik sięgnął wolno po rewolwer.

Piotr głową runął na stół. Usiłował podźwignąć się. Krew lała mu przed oczami. I nim żołnierz oderwał jego palce uczipione krańdźmi stołu, wybełkotał:

— Powiem, powiem!

Kaczyński nie zdążył przetłumaczyć, gdy porucznik dał żołnierzowi znak, aby cofnął się.

Piotr został sam. Oburącz przytrzymując się stołu, z czołem wspartym o krawędź, usunął się na kolana. I chociaż natychmiast usławił sobie swoje poniżenie, nie miał siły podnieść się. Wszystko stało się dla niego obojętne i nieważne. Jedną tylko natrętną myśl kołowała w nim uporczywie.

Tymczasem porucznik, nieruchomymi oczami wpatrzony w Piotra, bawił się rewolwerem. Nagle powiedział parę słów do Kaczyńskiego. Ten stał przygarbiony mrugając wyuknymi powiekami. W ciszy wyraźnie było słychać chrzęst rewolweru przerzucanego z ręki do ręki. Mucha uporczywie pobzykiwała przy oknie. Wreszcie Kaczyński pochylił się ku kleczącemu.

— Kto? — spytał szeptem.

Tamten jakby nie słyszał. Nie poruszył się.

— Panie leśniczy! — powtórzył sklepiarz. — O nazwisko pyta.

Piotra doszedł ten głos z bardzo daleka. Czuł, że traci przytomność. Lecz równocześnie zdawał sobie sprawę, że musi natychmiast zebrać wszystkie siły, aby potrzebne nazwisko powiedzieć. Podniósł głowę. Twarz Niemca, osłoniętą hełmem, zacierał zmierzch. Jedyne oczy wśród tego cienia były widoczne: bardzo jasne, prawie przezrocyste.

Piotr przymknął powieki. Słony smak krwi przyparował go o mdłości. Wreszcie nieomal na dnie bezgłośnej ciemności szarpnęło nim przejmujące olśnienie. Odetchnął głębiej i poprzez krew sącząca się z rozchylnych warg szepnął:

— Walicki!

— Walitzki? — pochylił się porucznik.

I spojrzął na sklepiarza.

— Co to za jeden?

Kaczyński cofnął się i wylamując palce w stawach począł bełkotać bez związku.

Tamten podniósł się i skinął na niego palcem. Sklepiarz przysunął się bliżej.

— Walitzki? — powtórzył porucznik.

Kaczyński milczał. Niemiec ściągnawszy ciemne brwi przyglądał mu się chwilę. Nagle wyprostował ramię i poprzez stół uderzył stojącego pięścią w twarz. Kaczyński krzyknął krótko, rękoma zasłonił głowę. Stał tak chwilę oddychając ciężko zaokrąglonymi ustami. Wreszcie, zacinając się i bełkocąc, zaczął mówić.

Karol Walicki był nauczycielem w odległej o kilometr Rudawicy. Przyjaźnił się z leśniczym. Z rodziny miał tylko matkę, na wespół sparaliżowaną starsuszkę. Mieszkał przy budynku szkolnym.

— Genug! — przerwał porucznik i z zadowoleniem spojrzął na towarzysza.

Ten skinął głową, przeciągnął się leniwie w ramionach i wstał. Kaczyński mrugając zaczerwienionymi powiekami spoglądał na jednego, to na drugiego.

— Raus, raus! — krzyknął porucznik.

I pchnął go w stronę wyjścia.

Po chwili Piotr został w izbie z jednym tylko żołnierzem. Był to ten sam, który przed chwilą tak zaciekle kopał go w brzuch. Teraz Niemiec podniósł go z podłogi i posadził na stołku. Spoglądał na niego chwilę. Potem wyszedł do sieni i zacerpnął z wiadra świeżej wody. Piotr machinalnie wziął kubek. Gdy chwycił pił, żołnierz przyglądał mu się z litością pomieszaną z pogardą. W pewnej chwili powiedział kilka słów. Przeczekał trochę i powtórzył je. Widząc jednak, że Piotr nie rozumie, wrzucił ramionami, przysunął ku oknu drugi stołek i usiadłszy zapalił papierosa.

Zmierzch gęstniał i ciemniał. Las, ciagle jeszcze niebieskawo, stał się teraz beksztalną mgłą, jak nieruchomy obłok wyrosła z szarozłotawej ziemi, a w górze rozdzierającą inne obłoki, których stalowe i bure strzępy pędziły nisko niewidzialny wiatr. Dwie samotne jabłunki wiązały ten pejzaż czernią wiotkich gałęzi. W ciszy, niby tajemnicze nawolwania, rozbrzmiewały chrapliwie głosy niemieckich żołnierzy. A z głębi mroku, jak gdyby nadchodząca noc niesła przed swymi ciemnościami groźny pomruk, szło dudnienie czołgów i samochodowych kolumn.

Piotrowi było nieomal dobrze. Tylko chłód mu dokuczał. Skulił się więc, aby szczerzej ogarnąć w sobie zimno. Znowu wydało mu się, że wszystko jest snem. I jak zdarza się we śnie, począł niepokoić się, że nie zdąży wyjść na spotkanie Karola. Wracając w południe do Rudawicy Karol obiecał, że jeśli tylko będzie mógł, postara się jeszcze raz zająć przed wieczorem. Prawie codziennie o tej porze przychodził.

Najkrótsza droga z leśniczówki do Rudawicy prowadziła lasem. Piotr na przełaj przeszedł przez kartoflisko za domem i szybko pośpieszył znajomą ścieżką. Spotyka Karola w połowie drogi. Karol jest jak zwykle bez czapki, w grubej szarej kurtce i w dobrze już podniszczonych spodniach. Wracają do leśniczówki drogą nieco dalszą, bo Piotr chce zajrzeć do szkółki młodych świerków. Las jest pełen niebieskości. Wśród niej brunatne pnie smukłych sosen, oderwane od ziemi i korzeni, łagodnie poddają się kołysaniu wiatru. Gdy nastaje cisza, wysoko szumi igliwie, a sprawa to złudzenie, że szumia obłoki. Karol idzie pierwszy. Pogwizduje rytmiczną, radosną melodię, w której Piotr natychmiast rozpoznaje pierwsze takty z „Eine kleine Nachtmusik“.

Karol spogląda na niego.

— Chcesz, nastawię ci jedną płytę? Bardzo ją lubię.

Pochyla się nad albumem z płytami i przy świetle dogasającego ogarka wyszukuje potrzebną. W piecu buzuje ogień, trzaska drzewo. Mała orkiestra zaczyna głośić swoją radość. Piotr słucha przymknawszy powieki. Gdy je otwiera, widzi na wprost siebie pochylony profil Karola, jego niskie czoło, a nad nim ciemne, gęste włosy. Samotność własnego życia wydaje się naraz Piotrowi mniej dotkliwa niż zawsze. Myśli, że wróciwszy do siebie znajdzie się jak co dzień w pustym domu, lecz jednocześnie myśli, że jutro znowu może zobaczyć przyjaciela. Oczekiwać, czyż to nie znaczy łagodnie samotność?

— To Mozarta — objaśnia Karol, kiedy serena skończyła się. — Podobało ci się?

— Owszem — odpowiada Piotr.

Potem, późnym już wieczorem, Karol odprowadza Piotra do leśniczówki. Idą lasem. Pada marcowy deszcz. Ziemia paruje świeżą wilgocią. Powiew wiatru znad łąk za Rudawicą jest łagodny i ciepły. Wysoko ponad chmurnym niebem, jak gdyby do innego, doskonalszego nieba należą, prześwituje kilka nieśmiałych gwiazd.

— Popatrz! — odzywa się Karol — już niedługo będzie wiosna.

— Tak wygląda — potwierdza Piotr.

Wstrząsnął nim chłód. Otworzył oczy. W izbie, podobnie jak na dworze, było niebiesko. Sprawiało to wrażenie, że nie jej wnętrza nie odgradza od zmierzchu. Zar papierosa nikłym blaskiem oświetlał siedzącego przy oknie żołnierza, jego twarz nieobecna, znieruchomiła w zapatrzeniu.

Piotr poruszył się. Tamten drgnął i szybko się ku niemu obrócił. Po chwili wstał i podszedł bliżej. Spoglądał na siebie w milczeniu.

— Zigaretten? — spytał Niemiec.

Piotr skinął głową. Gdy żołnierz podsunął paczkę, wziął jednego. Ledwie dotknął nim ust, od razu poczuł, jak bardzo ma wargi obrzęknięte i obolałe. Odpalił jednak od żołnierza i zaciągnął się. Zakrztusił się natchmiast i rozkaszał. Każde poruszenie ostrym bólem łamało mu głowę i piersi. Wreszcie uspokoił się, lecz bał się wyprostować, aby znowu bólu nie rozjątrzyć. Papieros, który wypadł mu z ręki, zarzył się na podłodze. Żołnierz przygniół go butem. Ciągłe przypatrywał się Piotrowi. Na koniec wolno i z namysłem powiedział:

— Umierać... nie chce? Nie... szkoda...

Piotr nie poruszył się. Umierać? To słowo wymówione ze złym, śmiesznym akcentem, wydało mu się puste, nic nie wyrażające.

— Moje życie wcale nie jest ciekawe — mówi Piotr.

— Karol spogląda na niego.

— Cóż ty możesz o tym wiedzieć?

— A kto ma wiedzieć?

Karol milczy. Dopiero po chwili odzywa się z wolnym namysłem:

— Nie zawsze wiemy, co jest w naszym życiu ważne.

Piotr wstaje nagle i zatrzymuje się przy otwartym oknie.

— Kiedy w moim życiu naprawdę nie ma nic ważnego. Ja nie jestem ważny, to wszystko.

Patrzy w noc. Sierpniowa gwiazda toczy się po niebie jak strumień ognisty. Smuga mgły pod lasem rozpościera się tak równo, jakby białała tam płytka woda. Piotr siada na oknie.

— Owszem, lubiło mnie wielu ludzi. Ale dla żadnej kobiety ani dla żadnego mężczyzny nie jestem niezbędny. Nikomu nie jestem potrzebny. Mogę być, mogę nie być, to na jedno wychodzi.

Spogląda dalej na podwórze. W pewnej chwili słyszy, że Karol wstaje. Chodzi teraz po izbie.

— Lelek przeleciał — zauważa Piotr.

Karol zatrzymuje się.

— Ja myślę — zaczyna z poprzednim namysłem, — że owszem, to jest ważne być niezbędnym dla jakiegoś człowieka. Ale może jeszcze więcej znaczy, gdy ktoś drugi jest niezbędny.

Piotr wychyla się i przesuwa dłoń po szorstkich słonecznikach rosnących pod oknem.

— Bałbym się tego.

Karol spogląda na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego?

Chwila ciszy.

— Dlaczego? — powtarza.

Piotr wyluskuje niedojrzałe, miękkie ziarna i ciska je za okno, w zielony gąszcz.

— Nie wiem — odpowiada wreszcie. — Ale bałbym się.

Naraz od strony lasu dobiegł Piotra warkot motoru. Jednocześnie usłyszał własny głos wymawiający nazwisko Karola. Nim otworzył oczy, zdał sobie sprawę, że Niemcy jadą po Karola do Rudawicy. W izbie było mroczno, za oknem stała noc. Chciał podnieść się, biec, odwołać oskarżenie. Ale zbrakło mu sił. Tylko świadomość pracowała w nim coraz sprawniej i jaśniej.

Wtem, gwałtownie zgrzytając hamulcami, samochód zatrzymał się przed leśniczówką.

Żołnierz pilnujący Piotra wyprostował się. Na dworze krzyknął ktoś donośnie. Piotr natchmiast rozpoznał głos porucznika. Równocześnie do sionki wtargnął tupot ciężkich butów. Drzwi otworzyły się pchnięte kopnięciem i ogromne cienie zapelnily niską izbę. Duża latarnia karbidowa, chybocząca w rękę jednego z żołnierzy, rozjaśniła mrok żółtym po-blaskiem.

Piotrowi, skulonemu na stolku, ogień przeleciał przez piersi. Serce w nim zamario na moment. Ktoś chwycił go oburącz za ramiona, szarpnął i zmusił do wstania. Podniósł głowę.

O krok zaledwie od siebie ujrzał Karola pomiędzy kilkoma ogromnymi żołnierzami. Wydał się wśród nich drobny i wątły. Miał na sobie codzienną, szarą kurtkę. Był błady, lecz spokojny. Gdy spojrzenia ich spotkały się, Piotr zdrżał. Od razu zrozumiał, że Karol wie wszystko. Ale nie znalazł w jego oczach nienawiści, ani potępienia, Pokonany, pochylił głowę. Trzymał się na nogach ostatkiem sił. Całą twarz miał umaczaną we krwi, oczy zapadnięte w głąb smacznych jam.

— Bałem się... — szepnął opuchniętymi wargami.

Najbliżej stojący żołnierz trącił go w plecy karabinem.

— Maul halten! — krzyknął.

Szybkie kroki rozległy się w sieni. Żołnierze natchmiast wyprostowali się na baczność.

Pierwszy wszedł wysoki porucznik, za nim, z rękoma w kieszeniach płaszcza, jasnowłosy junkier. Młodszy przystanął przy progu, tamten zaś ze środka izby ogarnął zebranych krótkim spojrzeniem. Gdy dostrzegł Karola, doskoczył do niego z zaciśniętymi pięściami i z miejsca wybuchnął rozwścieczonym wrzaskiem. Chłodny dotychczas, opanowany i pogardliwy Niemiec, przemienił się w mgnięciu oka w innego zupełnie człowieka.

Karol przybladł silnie, jednak ani na chwilę nie oderwał oczu od zapienionego oficera. Wpatrywał się w niego spokojnie, z nasileniem, które jeden tylko Piotr uchwycił. I spokój przyjaciela jemu się udzielił.

Wyprostował się.

— Skłamałem — powiedział głośno. — On nie miał z tym nic wspólnego. Tylko ja.

Porucznik nie spostrzegłszy zrazu, kto mu się ośmielił przerwać, w pierwszej chwili za-

niemówił. Zorientowawszy się, że to Piotr, wbił w niego białe z wściekłości oczy.

— Was?

Piotr odetchnął głębiej.

— Skłamałem — powtórzył. — On jest niewinny.

— Raus! — wrzasnął tamten.

Tymczasem Kaczyński przysunął się ku niemu i jakając się począł coś przekładać.

— Raus! — zawył porucznik.

I tnia oślep uderzył zaciśniętą pięścią. Sklepikarz stęknął i zatoczył się pod ścianę. Za to tamten uspokoił się nagle. Cofnął się parę kroków do tyłu i obrócił ku towarzyszowi.

Piotr staniając się zrobił ruch jakby chciał podejść w ich stronę. Karol zatrzymał go wzrokiem.

— Daj spokój — powiedział cicho równym głosem. — Po cóż to?

I dorzucił jeszcze ciszej:

— Przecież to już skończone...

Piotr przygarbił się i bezgłośnie prawie wyszeptał imię przyjaciela. Tamten dosłyszał jednak. Drgnął mu wargi i oczy pociemniały. Lecz zaraz opanował się.

— Trzymaj się! — powiedział sucho.

Stojący obok żołnierz pchnął go w ramię.

— Milcze!

W tym momencie stojący przy drzwiach porucznik odwrócił się i krótkim ruchem objął Piotra i Karola.

— Rozstrzelać!

Wyszedł nie oglądając się, za nim wysunął się młody junkier.

IRENA KRZYWICKA

Spotkanie z Francją

I znow, jakby nie było sześciu lat wojny, wybieram się na podróż do Paryża. Tylko zamiasz porządnej walizy, tobołki i tłumoczeki, na sobie lachy, a w sercu zamiast milośńi niepokoju, jaka będzie ta Francja powojenna, jak się będzie w niej pracowało, czym przyjmie i czym powita, czy będzie się ją kochało tak jak dawniej. Po wszystkich straszliwych katastrofach wojennych, kiedy życie zdawało się skończone, nagle trzeba rozpocząć je na nowo, w nowych warunkach, wśród nowych ludzi, poza krajem. Los lubi poigrać z nami trochę, wtrącić na dno przepaści, potem kolejną linową na górę raz do lodowni raz na kaloryfer, na brak rozważności nie można się uskarżać, tylko żeby gustować w rozmaitościach, trzeba być młodym i radosnym.

Ale mniejsza. Jadę do Francji, niby na księżyc. Tak się nie wie, jak tam jest, jak było. Ludzie zazdroszczą mi wyjazdu. Odpowiadam im, że wiem, iż życie w Paryżu jest ciężkie. Zazdroszczą mimo wszystko. Czy słusznie?

Pierwsze zatknięcie się z Francją odbywa się w pociągu sanitarnym, który ma nas zawięzić do Paryża. Nie obywa się bez tarć, dość przykrych. Przyjmują nas niechętnie, cóż robić! Mamy wagon zastawiony postaniami w trzy kondygnacje, jedne nad drugimi. W toalecie nie ma wody i nie będzie jej do końca podróży. W wagonie naszym nieczynne jest też światło. Od razu mówię o ciemnych stronach, żeby czym prędzej przejść do jasnych. Jeszcze trochę światłocienia: karmią nas i to zupełnie przyzwyczajone, ale nie dają ciepłego napoju prócz odrobiny chłodnej kawy rano, można popijać wodę, o ile zdobędzie się ją gdzie na stacji, a jedzenie z powodu ogromnej długości pociągu też przychodzi zimne. Uf, skończyłam! Jeżeli narzekam, to nie dlatego, abym miała niewdzięcznością odpłacać za wielką, bądź co bądź, uprzejmość Francuzów, którzy przewożą nas za darmo i jeszcze żywią, ale aby zapytać czytelnika, co by to się mówiło i krzyczało, gdyby to był pociąg polski, jak rozpaczliwym gestem ten i ów rozdierałby szaty. A Francuzi tymczasem sfilozofowali pociąg i różne etapy jego podróży, co miałam już przyjemność oglądać w kinie.

Ale proszę nie myśleć, że były same ciemne strony. Przede wszystkim cały urok Francji spłynął na nas z uśmiechem zachwycającej lekarki, M-me Martin-Barrés, ślicznej, żywej, dowcipnej i okazującej nam przez cały czas podróży największą życzliwość. Gdybym była mężczyzną, oszalałabym dla niej na pewno. Z jej zębów i oczu tryskały iskry, powiedziała byle co i cały wagon pokładał się ze śmiechu, a jednocześnie potrafiła zakasać rękawy i uszorać podłogę, troszczyć się o chorych, pracować niezbrzdrownie. A obok niej przemila M-me Paulette Fressinet, łagodna i jakby przygaszona młoda dziewczyna, która walczyła tak jak nasze dziewczęta z Niemcami, której większa część rodziny znalazła się w obozach koncentracyjnych, która ukrywała się i pracowała w podziemiach konspiracji i walki zbrojnej. A prócz nich „biały anioł”, naczelną pielęgniarką niezwyklej urody, dystynkcji i słodyczy, zdobyła też nasze serca. Co za kobiety! Jakże daleko jesteśmy od banału frywolnej paryżanki, która zresztą była zawsze postacią fantazyjną, wyimaginowaną przez podrzędnych pisarzy. Prawdziwą kobietę francuską ujrzelismy w tym niezbyt komfortowym pociągu, a to było ważniejsze od drobnych niedogodności w podróży.

Jedziemy bardzo okrężną drogą, przez Cze-

W izbie wszczął się ruch. Jeden z żołnierzy pchnął Piotra ku drzwiom, drugi wysoko podniósł latarnię i jej blask rozjaśnił mrok sionki. Piotr, z przyzwyczajenia schylając w drzwiach głowę, przeszedł pierwszy przez próg i zaraz ogarnęło go chłodne powietrze październikowej nocy.

Mrok stał nad ziemią. Gdy podniósł oczy, ujrzał skłębione nisko niebo, ponad nim w głębokościach bardzo dalekich drugie niebo spokojne, mroźne prawie i gwiazdziste. Jakież wspomnienie przeszło mu przez pamięć, lecz nie mógł uchwycić jakie. Obejrzał się za siebie. Z tyłu stał Karol i także patrzył w niebo.

— Karol! — szepnął po raz drugi.

Żołnierze mówili coś między sobą, naradzali się najwidoczniej, który z nich ma wykonać egzekucję. Nagle Piotr uczył na dłoni rękę Karola. Targnął nim ból, jakiego nie znał dotąd. Ręka mu zadrzała.

— Nie bój się! — pochylił się ku niemu, tamten.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy pchnięto go w plecy karabinem. Posłusznie, ścierając machinalnie dłoń krew z twarzy, ruszył przed siebie. Blask latarni wąską smugą oświetlał drogę. Jednak potknął się parę razy o kamienie. Prowadzono ich w głąb podwórza. Piotr, chociaż nie oglądał się za siebie, czuł, że Karol idzie za nim.

— Pamiętaj — usłyszał naraz blisko jego ściszy głos, — nawet to może być nadzieja...

Cisza stała w ciemnościach. Spomiedzy tułopotu podkutych butów Piotr wyraźnie wy-

chwytował własne kroki, a za sobą każdy krok Karola. Wtem poza nim ktoś począł głośno gwizdać. Piotr odruchowo przystanął. Był pewien, że rozpoznał głos porucznika.

— Schnell, schnell! — pchnął go najbliższy, z żołnierzy.

Potknął się znowu, lecz nim dalej ruszył, zdążył się odwrócić i spojrzeć na Karola. Ten także słuchał.

Wysoki gwizd przenikał w noc pierwszymi taktami pogodnej serenady Mozarta. Piotr podniósł głowę. Gęste obłoki klebiły się w górze, lecz wyżej, jak nikt światło w ciemnościach, jaśniało jeszcze gwiazd kilka, dalekich i samotnych. „Nadzieja!” — pomyślał machinalnie, lecz bez pewności, że ma do niej prawo.

Dotarli wreszcie do końca podwórka, pod płot. Obok widniała w ziemi czarna jama po wykopanej bronii. Szum lasu podchodził tutaj ciemną falą.

— Hall! — krzyknął jeden z żołnierzy.

Stanął. Drugi żołnierz, barczysty i w kasku, wyjął rewolwer i od tyłu podszedł do Karola. Ten wyprostował się, podniósł głowę. Wydawał się teraz wśród ciemności wyższy niż zwykle. Wystrzał zabrzmiął krótko i głucho. Karol zachwiał się i z rękoma przybliżonymi do ciała upadł twarzą w mrok.

Nim żołnierz podszedł z kolei do niego, Piotr jeszcze raz zdążył spojrzeć na niebo. Jedna, przygasająca gwiazda płonęła wśród ciemnej i milczącej otchłani. „Nadzieja!” — pomyślał z rozpaczą.

Grudzień, 1941.

Jerzy Andrzejewski

przyrody, które zakwitnie z pewnością na tej pustyni, ale dla ludzi miejsca już nie ma. To też jak pusto i głucho w tym „niegdyś-mieście”; na placu, który był niegdyś rynkiem, stoi wózek, na nim trochę rzepy i jarmużo rozkupionych w jednej chwili przez zgłodniałe Niemki. Pewien ruch daje się zauważyć na trasie (bo nie można tego nazwać ulicą) do dworca. Ciągną tam i z powrotem grupki kobiet z koszykami, widocznie jadące lub wracające z wyprawy na wieś po żywność. Ale to nie są toboły, jakie wiozły nasze szmuglerki w czasach okupacji; to małe węzełki i paczuszki, przytulane troskliwie. Widocznie ocalały jakieś domki w okolicach Norymbergi, skoro widać te kobiety, ale miasta nie ma. Na stacjach widać nieliczne grupki Niemców, prawie tylko kobiet, ale jeździć im wolno tylko wagonami towarowymi; gdyż osobowe służą Amerykanom.

Mijamy bez postoju mniej stosunkowo zniszczony Stuttgart, rozmyślając nad tym, że my straciliśmy Warszawę, a Niemcy — wszystkie miasta. Może tu i ówdzie jakaś dzielnica ocalała, ale przynajmniej na trasie naszego pociągu wszystko właściwie jest zniszczone. A przecież były rejonny stokroć mocniej bombardowane.

Tę lekcję historii Niemcy zapamiętają na zawsze. To są zniszczenia, których odrobic nie podobna. Można jedno miasto wskrzesić z martwoty, odbudować setki — to mrzonka. Czym może być w naszej cywilizacji kraj bez miast, to nawet trudno sobie wyobrazić. I jak może się potoczyć życie takiego kraju?

A potem Francja. Słodka Francja, la douce France, która nam tyle zmartwień narobiła w czasie wojny, a która zawsze pozostała bliska naszemu sercu, sercu ludzi, którzy kochają wspaniałą kulturę francuską, jej sztukę i naukę, jej pejzaż i język. Francja widziana z okien pociągu, zamglona i zapłakana deszczem, z bliznami na szczęście niefabrycznymi po bombach i wreszcie Paryż, taki jak zawsze w chwili, kiedy się wjeżdża w jego orbitę: brzydki i czarny, nie ukazujący takich łatwo swoich uroków, rozczulający tylko miłymi bistro, wychylającymi się ciekawie dwoma rzędami krzesła na trotuar. Martwy, w porównaniu z czasami przedwojennymi dworzec, kilku ospałych tragarzy, których trzeba nakłaniać, aby załadowali nasze rzeczy na swoje śmieszne taczki, i oto jesteśmy na ulicy. Ale taksówek ani śladu. Stoi natomiast kilka autobusów, które się wynajmuje w do-raznych wypadkach i jeden z nich nas zabiera. Normalne linie autobusowe nie istnieją, metro dźwiga cały ciężar komunikacji w przeludnionym Paryżu.

Paryż, ukochany Paryż, niby ten sam, a jednak zmieniony. Nie wiem, czemu zniknął ten specjalny zapach ulic paryskich, który został równie silny we wspomnieniu, jak wrażenie wzrokowe. Może dlatego, że mało jest samochodów, że ulepszona benzyna amerykańska nie wonieje, że sklepy są puste i nie emanują na ulicę smugami zapachów, że kobiety nie są uperfumowane. Ulica paryska pachnie teraz, jak każda inna ulica świata, a dawniej miała swój oddech własny, który smakował, jak oddech ukochanej osoby.

Wiele się w Paryżu zmieniło i od razu powiem tym, którzy mi w kraju zazdroszcili wyjazdu, że życie tu jest twarde i trudne, smutne i skomplikowane, i choć skomponowane pięknem miasta, naprawdę nie łatwiejsze, a często znacznie trudniejsze niż u nas.

Irena Krzywicka

JAN TAŃSKI

Wspomnienie o Apollinaire

W czasie czerwcowej „akcji” na terenie ghetta lwowskiego w r. 1943 zamordowany został sędziwy dr Maurycy Rose, subtelny znawca i miłośnik literatury pięknej, dobry Polak i człowiek wielkiego, szlachetnego serca. Nie przez dyktando, ale z najwnikliwszego wyczucia istoty poezji, gromadził przez lat wiele tomiki celniejszych liryków europejskich — a zawsze umiał odróżnić odkrywczą twórczość od naśladowczej sieczki, co nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, zwłaszcza gdy idzie o zjawiska świeże i nowe. Z dr Rosem łączyły mnie od dawna bliskie stosunki przyjaźni, opartej na wspólnych zamiłowaniach. Przedyskutowaliśmy długie godziny, w czasie których nauczyłem się bardzo wiele od człowieka głębokiego i niesłychanie odcytanego. W swoim czasie zjeździł on całą niemal Europę, poznał wielu ciekawych ludzi i był dla mnie żywą historią literatury ostatnich lat trzydziestu. M. in. zetknął się z Apollinairem, a wiadomości o tym poecie, skrzętnie wtedy przeze mnie zanotowane posłużyły mi do napisania tego wspomnienia. Niechże mi wolno będzie przez drogą pamięć przyjaciela-męczennika ująć to wspomnienie w stylstyyczną formę „pierwszej osoby”, tak jak je słyszałem z ust dr Rosego.

„Apollinaire’a poznałem na rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej w Paryżu. Stolica świata wrzała wówczas od oryginalnego, choć nieraz nawet natrętnego zgłębienia rosnącego w siły i dobre o sobie mniemanie futurizmu. Rej wodził wszędobylski dzięki swym manifestom M. Marinetti. Pamiętam dobrze owe światło- i literaturoburcze „Manifesty”, opatrzone w dokładne spisy poprzednich wydawnictw z przezornym wyjaśnieniem: „envoi franco de ces Manifestes contre mandat de l. fr.”, a poniżej, jakby dla podkreślenia potęgi scentralizowanego ruchu: „Direction du Mouvement Futuriste — Corso Venezia, 61 — Milan”.

Drukowane przeważnie „tradycjonalistycznie”, z umiarkowanym rozrzucaniem kolumn w sposób wprowadzony na szeroką skalę dopiero przez nadrealizm, narzucały wielu poetom pewien określony kanon i szablon twórczy. Warto tu dodać, że nie wszystkie one były tak „głupie” i „bez sensu”, jak twierdzili przeciwnicy futurizmu. W futurystycznym widziałem pozytywny przejaw szukania nowych dróg twórczości, co w pierwszych latach naszego wieku było szczególnie ważne. Czy godziłem się na to wszystko? Z małymi zastrzeżeniami tak. Wierzyłem wówczas w naderwyczość nadchodzącego wieku i chciałem ujrzyć narodziny nowego człowieka i nowej epoki. Wojna światowa, która uderzyła w Paryż gromem lat 1914—1918, pokazała, że futurysty francuscy (ale nie włoscy, bo ci stali się świadomie w konsekwencjach swojej „ideologii” apostołami militarystyki i imperializmu) mieli zasadniczo rację. Niestety, ujmowali zagadnienie w sposób niewłaściwy: do stworzenia nowej epoki nie potrzeba było burzy i dzieł sztuki tradycjonalistycznej, ale zburzyć należało przeżyłą postawę duchową ludzi. Chcąc być wyrazicielami żywego i tętniącego realnością dnia, futurystom był w swych realizacjach właściwie aspołeczny.

Począwszy od roku 1909 „manifesty futurystyczne” pojawiały się jeden za drugim. Warto przypomnieć te rzeczy stosunkowo mało u nas znane. Oto owe manifesty w porządku, w jakim się pojawiały: 1. Manifeste du Futurisme (20. II. 1909 — Marinetti), 2. Tuons de Clair de lune (IV. 1909 — M.), 3. Manifeste des Peintres futuristes (11. IV. 1910 — Boccioni, Carrà, Russolo, Balla, Severini), 4. Centre Venise passéiste (27. IV. 1910 — j. w.), 5. Manifeste des Musiciens futuristes (V. 1910 — Pratella), 6. Centre l'Espagne passéiste (VI. 1911 — M.), 7. Manifeste de la Femme futuriste (25. III. 1912 — Valentine de Saint Point), 8. Manifeste technique de la sculpture futuriste (11. IV. 1912 — Boccioni), 9. Manifeste technique de la littérature futuriste (11. V. 1912 — M.), 10. Supplément au Manifeste technique de la littérature futuriste (11. VIII. 1912 — M.), 11. Manifeste futuriste de la Luxure (11. I. 1913 — V. de Saint Point), 12. L'art des Bruits (11. III. 1913 — Russolo), 13. L'imagination sans fils et les Mots en liberté (11. V. 1913 — M.).

Z Apollinairem zetknąłem się w momencie, gdy pod prasą drukarską znajdował się nowy manifest, z kolei 14-ty, tym razem wedle pomysłu i układu Mr. G. Kostrowitzky'ego (tak nazwisko to wówczas powszechnie drukowano i tak też często sam jego właściciel się podpisywał). Poznanie się nasze było zupełnie przypadkowe. Znałem dość dobrze dyrektora drukarni, w której drukowano ów manifest. Gdy więc raz pewnego wpadł do drukarni, zastałem w pokoju dyrektora młodego, tegoż mężczyznę, o nieco wypukłych oczach, bujnej, ciemnej czuprynie i twarzy, na której jakby się tał wieczny, jakiś podskórny uśmiech. (Brodę zapuścił Apollinaire dopiero podczas wojny). Przedstawiono nas sobie. Ręka moja utonęła w wielkiej i mocnej dłoni tego przedziwnego poety, który chciał nas nauczyć „najbardziej realnego spojrzenia na

świat” poprzez okulary najfantastyczniejszej poezji, jaką kto kiedykolwiek stworzył.

„Tak, teraz pan powiada, że jest bardzo zadowolony z poznania mnie — mówił Apollinaire, — a za chwilę nazwiesz mnie uosobieniem zarozumiałej i zbezczerzniętej głupoty. Dlaczego? Pan się dziwi? Tak przecież nazywa mnie 90% czytelników paryskich gazet, a powiem panu zupełnie poważnie, że z tej reszty przynajmniej 90% też mnie nie rozumie! Obawiam się, że po przeczytaniu tego świstka — tu wskazał na korektę swego manifestu — i pan, wbrew temu co mówisz, podzielił to mało pochlebne dla mnie zdanie „kulturalnej powszechności”. Choć wie pan... mam nieraz takie wrażenie, że ludzie nie rozumieją czegoś często po prostu przez przekorę”.

Wziąłem do ręki mokrą odblękę. Czytam: „L'Antitradition Futuriste, Manifeste-synthèse”. A poniżej jakieś magiczne znaki-zaklęcia: „ABAS LEPominir Aliminé SSKorsusu otalo EIScranimr MENigme: ce moteur a toutes tendances impressionisme futurisme cubisme expressionisme pathétisme dramatisme orphisme paroxysme DYNAMISME PLastique MOTs en Liberté INvention de MOTs... A dalej długi szereg wskazań, opatrzone wspólnym nagłówkiem „Construction”. Oto ciekawsze z nich: „1. Techniques sans cesse renouvelées ou rythmes, Littérature pure MOTs en Liberté INvention de MOTs, Description onomatopéique, Musique totale et Art des bruits, Mechanisme Tour Eiffel Brooklyn et gratte ciels, Nomadisme épique exploratorisme urbain, Art des voyages et des promenades... 2. Intuition vivante ubiquité (1. Technika ustawicznie odnawiana albo rytm, Literatura czysta Słowa na wolności, Wynalazek Słowa, opis onomatopieczny, Muzyka totalna i Sztuka hałasów, Mechanizm wieża Eiffel, Brooklyn i drapacze nieba, Nomadizm epiczny, eksploracja miast, Sztuka podróży i przechadzek... 2. Intuicja szybkość wszędobylskość przestrzenna) — i wreszcie wprost karkołomne „Analogies et calembours”: tremplin lyrique et seule science des langues calicot Calicut Calcutta tafla Sophia le Sophi suffisant Uffizi officier officiel d'ficelles Aficionado Dona-Sol Donatello Donateur donne à tort torpilleur...”

Apollinaire patrzył na mnie z uśmiechem. A kiedy spostrzegł, że milczę, spoważniał. I zaraz zaczął mówić z ożywieniem:

„Widzę pana po raz pierwszy w życiu, a rozmawiam jak ze starym przyjacielem bez wstępów i bzdur o pogodzie. Ale niech pan sobie nie pochlebia — nie robię w tym wypadku jakiegos nadzwyczajnego wyjątku. Pracuję obecnie nad moim manifestem, a mówienie panu impertynencyj i dyskusja z ptym (jakim pan jest w tej chwili), to też praca nad nim. Proszę pana — sztukę trzeba skracać i upraszczać o tyle, o ile życie swe fakty mnoży i komplikuje. Analogia i kalambur w moim ujęciu, to wcale nie wyskok w niesprawdzalność, jak to chcą w nas wmówić ci i owi. To tylko zabieg techniczny, umożliwiający nam łatwe powiązanie nieskończenie rozmaitych elementów w sensowne i zającebiające się o siebie ciągi zjawisk i faktów. Proszę sobie wyobrazić opis ulicy w jakiegokolwiek realistycznym naturalistycznym, będzie pan miał tam „wszystko” wyliczone i uporządkowane, tak jak jego królowa mość poeta sądzi, że jest ogarnięciem i oddaniem rzeczywistości. Ale to tylko samookłamywanie się. Wszystkości nikt nie ogarnie. Przeznaczeniem sztuki jest skrót i eliminacja. A skoro tak, to rzucić do diabła wszelkie chyłone naśladownictwo, które już z góry skazane jest na skrócenie karku! (Apollinaire łatwo zapalał się w czasie mówienia, a potok jego wyrazów skrzył się od określeń gwałtownych i często dosyć nawet brutalnych. Uwaga dr R.). Sztuka jednak nie może zrezygnować z podniecającej ambicji tworzenia jakiegos konsekwentnego świata artystycznego w mniejszym lub większym oparciu o realia. Jak to jednak zrobić? Jakkolwiek, byle nie wedle zasady, że 2 × 2 = 4. Więc bezsens? Nie podobnego! Nie wolno nam tak dodawać i mnożyć faktów, jak to robimy z liczbami, bo w naszej czwórce artystycznej, powstałej z 2 zjawisk × 2 fakty, brakować będzie zawsze jakiegos ułamka piękna kobiecej pachy lub niezwykłości much spółkujących pod przejeżdżającym autobusem. To nam się wymknie — ale bez tego odwróci się do nas ironicznymi plecami na próżno przez nas chwytna rzeczywistość”.

Pałił papierosy z papierosem i po krótkim milczeniu mówił namiętnym tonem dalej:

„Bo np. ta ulica! Coś, co jest syntezą współczesności bardziej, niż klozet angielski lub pessaria. Nie żadne rzędy domów, tłumy przechodniów, zgłęb pojazdów itp. bzdury, które są właściwie wielkimi mowami niemych. Ulica... (I tu zaczął improwizować luźne, jakoś dziwnie zrytmizowane kadencje wierszowe, których część zdołałem zanotować):

para jedwabnych pończoch
biegnie szarymi skokami jak pies
którego smyczy
uwiązano do ręki
związanej spod płaszcza

i z ohmur
tramwaj wjeżdża przez witrynę do sklepu
ale szyba nie pryska
okruciami ostrego śmiechu
choć za nią krzyczy kasjerka
kłosem drażetek
aż piersi jej się wydeły
w dwie gładkie pomarańcze
o ósmej wieczorem dzień zleciał
z telegraficznego słupa
i przyniósł
olbrzymiego pajaka
którego każda noga
podobna była do pana i pani
a tułów do Placu Gwiazdy...

Apollinaire recytował jeszcze dość długo, ale tego nie mogłem już zapisać ani spamiętać, choć słuchałem uważnie. W pewnym momencie nagle przerwał, rzucił skończoną korektę na stół i podał mi swój bilet wizytowy: „Niechże pan kiedy zajrzy, to pogadamy”. I wyszedł nie podawszy mi nawet ręki.

W mieszkaniu Apollinaire'a byłem raz jeden, właśnie na skutek tego zaproszenia. Mieszkał on pod 202 Faubourg Saint-Germain w wysokim, czteropiętrowym domu o charakterystycznych, wąskich oknach i wesołych mansardach. Wtedy też poznałem panią Apollinaire, kobietę ale tyle przystojną, ile oryginalną i pełną przedziwną subtelności. Szczupła, wysoka, skromnie ubrana w ciemną suknię, raczej małowówna, umiała brać żywy udział w każdej literacko-filozoficznej dyskusji i rzucać nieliczne, ale niezwykle trafne i głębokie uwagi. Stanowiła ona świetne dopełnienie swego męża, który wybuchnął w dyskusjach niepohamowaną swadą i zmuszał wprost słuchacza do przyjęcia narzuconego mu stanowiska.

Oczywiście rozmawialiśmy o literaturze. Należy zwrócić uwagę na to, że prądy w sztuce takie jak dadaizm, nadrealizm i inne (w znacznej mierze kubizm, formizm i konstruktywizm) rozwijać się zaczęły dopiero w czasie wojny światowej i tuż po jej zakończeniu. Jednakże ideologia i teoretyczne związki tych postaw tkwiły potencjalnie w najszerszym pojęciu futurystycznym, Apollinaire tej epoki, to futurysta czystej wody i tak też określił jego wiersze ze zbioru „Alcools” („Mercure de France”, Paris, 1913) przyjacieli poety, André Salmon, w swym szkicu „Vie ancienne” (Paris, 1924). Futurystom Apollinaire'a był postawą twórczą i odkrywczą w przeciwieństwie do wielu wyczynów Marinetti'ego. Poezja Apollinaire'a sięgała naprawdę w przyszłość i każdy, kto miał sposobność zapoznać się z artystycznym programem poety z okresu na krótko przed pierwszą wojną światową, musi dojść do wniosku, że nie Breton (autor manifestów surrealistycznych!), nie Crevet czy Fargue — ale Apollinaire (i po części Eluard) był twórcą tego kierunku w sztuce. Z ust jego słyszałem prawie w szczegółach wykończone i starannie wypracowany program nadrealizmu.

Chcąc sprawkować Apollinaire'a do dłuższej przemowy oświadczyłem z najpocziwszą miną, że artysta musi z konieczności pójść drogą naśladownictwa właśnie w zakresie porządkowania wrażeń i łączenia ich w zorganizowane całości. Apollinaire przerwał mi:

„Termin — naśladownictwo — nie należy do najgłupszych słów ludzkiego języka, choć może nim się stać bardzo łatwo. Kiedy? Wtedy, gdy oznaczać będzie analogię w następstwie faktów i analogię ich związków. Bo fakty poszczególne bierzemy z życia i na to nie ma rady. Idzie tylko o zasadę związków i praw rządzących tymi faktami. A te związki stwarzają poeci. I to jest właśnie nasz artystyczny realizm, jedynie istotny i uprawniony. W jakim zakresie, na jakim terenie mamy je stwarzać? To da się ująć dosyć zwięźle: na terenie pojęć czasu, przestrzeni i przyczynowości. Bo czas mierzony zegarkiem, czas lejący niejako stale naprzód od teraźniejszości do przyszłości jest na terenie sztuki absurdem i nonsensem. Artysta panuje nad czasem w sposób tak niezależny i despotyczny, że może odwrócić jego strumień i kazać mu płynąć od przyszłości do przeszłości. W takim wypadku ogarnia on rzeczywistość w jej trwaniu, a nie jest poddany absolutyzmowi czegoś, co się stale wymyka, niejako niszczy w naszych dłoniach i jest właściwie niczym. A sztuka ma odbijać w sobie nieustanność i wieczność. Ma stwarzać tę wieczność poprzez przewyższenie tryalii czasu. To samo odnosi się do przestrzeni. Nieporozumieniem jest przestrzeń jako zasada umożliwiająca istnienie wielu rzeczy i zjawisk równocześnie w sobie! W sztuce świat się wzajemnie nawarstwia i przenika. Jeśli idę ulicą i mocno przeżywam scenę, która niedawno miała miejsce w tramwaju, to wbrew prawom „realnej” przestrzeni ten sam tramwaj jest we mnie! Nic mnie w danym wypadku nie interesuje „wyobrażenie” tramwaju. Ja mam w sobie rzeczywistość i konkretny tramwaj. Nonsens? Bynajmniej! To tylko artystyczna konsekwencja zasady przewyższenia. I to prawo musi panować w sztuce, o ile nie ma być ona rachityczną służebnicą podziałki milimetrowej. Tu ma swe źródło ten



Guillaume Apollinaire

tak często atakowany fragmentaryzm naszych poetyckich obrazów, rzekomo zupełnie anarchiczne ich powiązanie — słowem bezsens.

A propos bezsensu. Mamy bardzo wielu znawców poezji i malarstwa, którzy załatwiają się z nami bardzo krótko w taki sposób: piszą panowie futurysty nie do rzeczy, bo inaczej nie umieją; to nie sztuka spiętrzyć chaos słów, linii i barw. Niech no oni spróbują tworzyć wedle recepty tradycyjnej, to zobaczymy co z tego wyniknie! Panie, ten wspaniały Picasso okrzyknięty został przez wielu takich „znawców” zwykłym pacykarzem, który nie potrafi wziąć do ręki ołówka ani pędzla i dlatego sili się na konstruowanie „obrazów” z kawałków drzewa, szkła i blachy. Z zimną krwią zadusiłbym takiego kretyna, ale najpierw dałbym mu do przejrzania ot, te rysunki, aby wiedział, że słusznie go morduje za wodę w głowie. (Tu Apollinaire wskazał ręką na liczne rozwieszzone na ścianach szkice Picassa, wśród których było wiele świetnych studiów portretowych naszego poety). Że np. świat nie wygląda tak jak oni go widzą? Przecież oni wcale nie chcą, aby on tak wyglądał. Ot, ten dajmy na to „akt” Picassa mógłby nawet najbardziej notorycznemu erotomanowi obrzydzić na zawsze wszelką kobietę, gdyby naturalnie sztuka miała na celu tworzenie zwierciadeł dla onanistów. A sztuka zmierza do czegoś zupełnie innego: stwarza prawa tylko dla siebie a nie dla jakiegos urojonego pozaartystycznego celu. Sztuka ma ścisły kontakt z życiem, bo z niego wypływa i do niego zmierza, ale rządzi się własnymi prawami, które należy poznać i uznać!

No i jeszcze ta przyczynowość. Bez zasady przyczynowości świat byłby chaosem i absurdem. To samo i w sztuce, która musi stale zmierzać do realizmu w inny jednakże sposób niż to czyni np. nauka. Sztuka jest realizmem wyższego stopnia, dokładniejszym i dosadniejszym niż jakikolwiek inny realizm, bo realizmem estetycznym. Artysta znajduje związek prawdziwy i istotny, jakich nikt inny nie dostrzega i nie wyczuwa, ani się ich domyśla. Artysta odkrywa nowe światy logiki i praw przyczynowych, a bynajmniej nie zgłębia po morzu przypadkowości i anarchii. Kto rzetelnemu twórcy zarzuca anarchizowanie rzeczywistości, ten jest albo półgłówkiem albo kłamcą. My tkwimy po czubki głów w rzeczywistości, ale widzimy ją inaczej niż reszta ludzi i malujemy ją inaczej niż tego uczy nudna stara panna tradycja”.

Ta długa, niezmiernie interesująca rozmowa, a raczej monolog Apollinaire'a — to było naprawdę oryginalne i pobudzające przeżycie, które wprowadziło mnie lepiej w istotę zasadniczych poglądów nowej poezji na podstawowe problemy sztuki niż sążniste artykuły krytyczne w ówczesnej francuskiej prasie literackiej.

Po raz drugi zetknąłem się z Apollinairem już w czasie wojny światowej. Straciłem go w tym okresie zupełnie z oczu, wiedziałem tylko tyle, że walczy jako żołnierz 96-go pułku artylerii, gdzie — — — ? Aż raz pewnego spotkałem w Paryżu na ulicy F. Divoire'a. Było to w ciężkim dla Francji roku 1916. Divoire uściśnął mi mocno dłoń i po wymianie kilku słów spytał:

— Był pan u Wilhelma?

— A więc on jest w Paryżu? — zdziwiłem się. — Wszakże nigdzie nie można się z nim zobaczyć. Mieszkanie zamknięte... Pani też nieuchwytna...

— Ach, Wilhelm jest ciężko ranny. Leży w szpitalu. No, teraz to już znacznie lepiej, ale było z nim dość kruchko. Trepanacja!

Poszliśmy razem. Apollinaire leżał w Hôpital Italien, przy bulwarze Montmorency. Twarz blada, jakaś obwisła, oczy w sinych, pomarszczonych otokach, krótka, ciemna broda nadająca tej młodej twarzy jakiś raczej stary wyraz powagi i znużenia, na głowie turban z bandaży. Rozmawialiśmy krótko, bo wszelki wysiłek niezmiernie poetę męczył. W pewnym momencie Apollinaire na krótko się ożywił:

— Wojna nauczyła mnie jeszcze czegoś, czego w czasie pokoju nie można było nawet wy-czuwać: realności i realizmu ożywionej ma-terii. Nie dostrzegłem wcale świata psychicznego — my wszyscy jesteśmy tylko materią opętana dzikim pędem wzajemnego rozbijania się na niykie, starte i zmiażdżone drobiny. Nastąpił okres supremacji miągi i błota: o-siągamy jakiś niezrozumiały cel wojny przez zamienienie milionów pięknych form w amorficzne błoto, bez względu na to, czy tymi for-mami są ludzkie ciała, budynki, czy armaty. Realizm odsonił swe nowe oblicze.

— Pacyfizm — zacząłem...

Apollinaire machnął niecierpliwie ręką.

— Słowo jak każde inne, ale brzmi jakoś głupio. Bo kiedy się niemieckie „formy” zmieni w takie błoto, o jakim mówiłem, to może z tego da się coś jeszcze ulepić. Ale wpraw-zie zmienimy ich w to błoto...

Wkrótce potem musiałem wyjechać z Pa-ryża do Marsylii, dokąd wzywały mnie ważne sprawy rodzinne. Stale jednak brzmiały mi w uszach te słowa Apollinaire'a, które wypo-wiedział jakby na pożegnanie: „C'est pour la France... wolność jest więcej warta niż szalo-na głowa poety... chciałbym dożyć jeszcze ta-

kiej epoki, kiedy pióro będzie naprawdę po-tężniejszą bronią niż karabin...”

Apollinaire'a już więcej nie widziałem. Wiem tylko, że powrócił do zdrowia, pisał, wydawał... aż wreszcie przyszła choroba a z nią śmierć. Apollinaire zmarł 9 listopada 1918 roku o godzinie 6-ej wieczorem. Pierwszą wiadomość o jego śmierci podało pismo „L'Intransigeant” nazajutrz, 10 listopada. W artykule żałobnym napisano m. in.: „...Apollinaire s'était placé à la tête des novateurs de la littérature et de la peinture... C'était un esprit curieux de tout, une intelligence à la fois primesautière et érudite, c'était surtout un poète, un vrai poète, dont bien des poèmes d'Alcools sont des chefs-d'oeuvre de fantaisie, de rythme et comme des bouquets d'images radieuses. Il écrivait en prose une langue très classique et très pure...” (Apollinaire zajął czołowe miejsce wśród nowatorów w literaturze i malarstwie. Był to umysł wrażliwy i o do-cieklivej inteligencji erudyty, lecz był to przede wszystkim poeta, którego wiele utwo-rów ze zbioru „Alcools” to arcydzieła wyobraźni, rytmu i jakby bukiety promieniują-cych obrazów. Język jego prozy to język bar-dzo klasyczny i bardzo czysty). Przyjaciel po-ety, arcykapłan dadaizmu, Tristan Tzara, na-pisał w ogólnym tonie barokową rzeczą elegię „Sur la mort de Guillaume Apollinaire”:

nam już nie pozostało nic
bólu w nas nie tkwi nawet okruh
jesień gorzka od chłodu
krzący po torach mych mięśni
on kochał zwycięstw krzyk radosny
mądrością ciszy smutkiem czułą

w beczynie młodość
gdyby śnieg zaczął w górę sypać
i gdyby słońce o północy
wstało w kącie pokoju
aby nas grać
i drzewa rosły liśćmi w dół
— jedyny płacz —
i gdyby ptaki pośród nas patrzyły
w ciche jezioro ponad głową
wtedy by można dobrze pojąć
śmierć jako podróż nieskończoną
wieczne wakacje
dla mięśni i kształtów i kości.

Z kolei posypały się liczne publikacje po-święcone ciekawej postaci poety; wśród nich wyróżnia się tom prac zbiorowych, napisa-nych przez przyjaciół i „uczników” Apolli-naire'a (Roch Grey, A. Salmon, Paul Dermée, Fr. Picabia, P. Albert-Birot, Henri Hertz, A. Savinio, G. Ungaretti). Ciekawa jest „te-legraficzna monografia” poety, zawarta we wspomnieniu o Apollinaire, pióra André Bil-ly'ego: „...poésie, art, amitié, cuisine, voyages, érudition, religions, superstitions, journalisme, romans, policiers, patriotisme, bravoure, artil-lerie, guerre, trépanation, maladie, mort...” (poezja, sztuka, przyjaźń, kuchnia, podróże, erudycja, religie, zabobony, dziennikarstwo, powieści, polityka, patriotyzm, odwaga, arty-leria, wojna, trepanacja, choroba, śmierć). („Nouvelles Littéraires”, 1924).

Apollinaire jest najbardziej reprezentatyw-ną postacią nowej poezji francuskiej, jest in-dywiduałnością o najbardziej zdecydowanym blizku artystycznym.

Jan Tański

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

Notatki angielskie

Londyn, w październiku 1945 r.

Niektóre pisma w Ameryce oskarżają otwar-cie Anglię, że starając się o uzyskanie pomocy amerykańskiej dla odbudowy swego stanowi-ska gospodarczego w świecie, chce ordynarnie „kiwnąć Amerykę”. Obwiniają ją także, że chciała „okraść Amerykę” z jej handlu morskiego wówczas, gdy cały wysiłek morski Ame-ryki był poświęcony wspólnym celom wojen-nym.

Niektóre pisma w Anglii zarzucają nato-miast Ameryce, że chce zdobyć dyktaturę ekono-miczną świata i postawić zrujnowaną Anglię w sytuacji zebrała, proszącego o jałmużnę z czapką w rękę.

Pisząc, że Anglia broni się przed wciągnięciem jej w sferę wpływów amerykańskich, prasa amerykańska — według korespondenta Angli-skiego D. W. Brogana — nie wspomina „ze zro-zumiałych względów” o strachu, jaki odczuwa Anglia przed wciągnięciem jej w katastrofę, której prędzej czy później będzie musiał ulec amerykański system gospodarczy. Według Bro-gana jednak, ta obawa prasy amerykańskiej przed opinią publiczną własnego kraju jest nie na miejscu, gdyż każdy inteligentny Ame-rykanin wie, że ryzyko katastrofy istnieje i większość Amerykanów rozumie to dobrze. Według Brogana, Anglia nie może sobie jed-nak pozwolić na to, gdyż jest zbyt uboga, by mogła ryzykować związane się z systemem gospodarczym, który może doprowadzić do katastrofy i którego kierownicy posiadają „mentalność straceńców”.

Anglii nie podoba się umieszczenie w Ame-ryce siedziby Organizacji Zjednoczonych Na-rodów. Decyzja ta jest, według niektórych kół angielskich, rzeczywiście pożałowania godna, przy czym jako argument przeciw temu wy-suwają się „delikatna sprawa przesądów raso-nych i stosunku do ludzi kolorowych” w Sta-nach Zjednoczonych. Należy zaznaczyć, że fo-bia w stosunku do Anglików wzmogła się ostatnio znacznie i dla pewnych sfer Anglik jest częściej **limey** (słowo pochodzi ze złodziejskiej dzielnicy Londynu) niż **english gentle-man**, tak jak Murzyn raczej jest pogardliwie **nigger**, **jug**, **smoke** albo **buck** (samiec) zamiast **Negro**, Włoch raczej **dagó** lub **wop**. Polski emigrant na pytanie, jakiej jest narodowości, nie zawsze potrafił odpowiedzieć po angielsku **Polish**, częściej mówił po prostu **Polak** i stąd powstało słowo **Polack**, mające znaczenie ne-

gatywne. Żyd jest **Kike**, każdy Słowianin **Bo-hunk**, co oznacza coś w rodzaju Cygana, Nie-miec to **Kraut** (kapusta i do tego kiszona), albo **Hun** (od Hunów). Może tylko jeden Japończyk nie ma określenia negatywnego, ponieważ **Jap** nie ma nigdy innego znaczenia niż nega-tywne.

Ameryka dzisiejsza według opinii angiel-skich przypomina Anglię sprzed stu lat. Jej fabrykanci, świadomi olbrzymich możliwości własnej produkcji, interesują się niewiele rynkiem wewnętrznym, który jednak chcą mieć do swej wyłącznej dyspozycji. Im bar-dziej inne państwa są rozdrobione, tym le-piej dla planów amerykańskich fabrykantów. Stąd ich niechęć do zgrupowań państw i gwał-towne ataki przeciw barierom, którymi Anglia otoczyła swe posiadłości, utrudniając amery-kańskie plany ekonomicznego opanowania Imperium Brytyjskiego.

Według australijskiego korespondenta ty-godnika „Observer”, powojenna Australia jak-o rynek zbytu dla eksportu angielskiego bę-dzie bardzo różna od przedwojennej.

Dwa są powody, które utrudniają eksport an-gielski albo zredukują go wydatnie: wzrost własnego przemysłu australijskiego w czasie wojny oraz amerykańska penetracja rynku australijskiego. Jeśli chodzi o pierwszy z tych czynników, to warunki w jakich Australia znalazła się w czasie wojny sprawiły, że roz-rost przemysłu był olbrzymi w stosunku do jego poprzedniej historii i to nie tylko w pro-dukcji sprzętu i amunicji, ale także i wytwo-rów przeznaczonych na rynek wewnętrzny, uprzedni przywożonych z Anglii. Nastąpiła tam wielka rozbudowa ciężkiego przemysłu wytwarzającego części wszelkich maszyn oraz narzędzia pracy, przy czym z wyrobami ze stali trudno będzie konkurować, gdyż są one najtańsze z wszystkich wytwarzanych na świecie.

Budownictwo okrętów tak kiedyś zazdrośnie strzeżone przez Anglię, zostało rozpoczęte w Australii i będzie się rozrastało szybko i sta-le, gdyż według umów, które udało się zawrzeć Australii, jej własne statki będą miały wy-lączność transportu do Australii i z Australii. Dalej idzie wytwórczość produktów wszelkie-go typu nie tylko zapotrzebowania wewnętrznego, ale także i na eksport, począwszy od materiałów odzieżowych bezkonkurencyjnego gatunku poprzez szkło, narzędzia optyczne i chirurgiczne, chemikalia i środki medyczne aż do własnych samochodów i samolotów, któ-re Australia wkrótce będzie wytwarzała.

Kurs waluty australijskiej 1,25 do 1 w sto-sunku do angielskiej faworyzuje obronę ryn-ku australijskiego przed eksportem angielskim i nawet powoduje, że eksport australijski do Anglii jest łatwiejszy niż angielski do Au-stralii.

Zważywszy rozwój australijskiego przemy-słu oraz trudne finansowe warunki eksportu do Australii, przemysł angielski bierze pod uwagę raczej własną swoją rozbudowę w Au-stralii niż walkę o odzyskanie rynku australijskiego, wiedząc zresztą, że ekspansja angiel-ska znalazłaby wiele przeszkód w Australii.

Niektóre przedsiębiorstwa angielskie już po-szły tą drogą, ale ich działalność w Australii jest bardzo utrudniana przez drugi czynnik,

będący powodem zmiany australijskiego ryn-ku w czasie wojny — przez ekspansję przemy-słu amerykańskiego, który był pionierem roz-budowy przemysłu australijskiego w czasie wojny i ugruntował swoje wpływy w wielu dziedzinach życia w stopniu prawie wyłą-czonym. Tak np. amerykański sposób ubierania się, zwłaszcza kobiet, stał się powszechny, amerykańskie książki i czasopisma (z rzeczywi-ście interesującymi ogłoszeniami eksporterów amerykańskich) zajęły w Australii naczelną miejsce, a amerykańscy wydawcy tych czaso-pism i książek przywykli już uważać Austra-lię za swój wyłączny rynek. Prawie wszystkie kina są pod kontrolą amerykańską i tylko bardzo rzadko wyświetlane są filmy angiel-skie.

Anglia sądzi, że ma jeszcze pewne możli-wości odzyskania straconych pozycji a to głównie dzięki tradycji wiewóz łączących ją z Austra-lią, ale zdaje sobie sprawę, że będzie to wy-magało wielkiego wysiłku, który spotka się z takim samym wysiłkiem Australii utrzyman-ia już zdobytych przez siebie pozycji oraz z wysiłkiem kapitału amerykańskiego niedo-puszczenia angielskiej konkurencji.

Ze sprawą angielskiej ekspansji ekonomicznej, którą Anglia zamierza rozpocząć celem odzyskania straconej pozycji, wiąże się usta-lenie kursu waluty angielskiej w stosunku do amerykańskiej. Według opinii specjalistów spraw finansowych angielskich ustala się w świecie przekonanie, że wartość waluty an-gielskiej zostanie wkrótce obniżona z czte-rech dolarów na około trzy dolary, by dać w ten sposób przemysłowi angielskiemu moż-ność konkurowania z przemysłem amerykań-skim. Obniżenie wartości pieniądza angiel-skiego za granicą sprawiłoby, że i towar an-gielski byłby tańszy niż amerykański, gdy je-dnocześnie towar zagraniczny miałby w An-glii zbyt wysoką cenę nie pozwalającą mu konkurować z angielskim. (Od początku wojny ceny eksportowe angielskie wzrosły o oko-ło 80%, gdy amerykańskie tylko o około 50%).

Tymczasem we Francji dolar amerykański ma w nielegalnej sprzedaży cenę 200 franków francuskich, a funt angielski zamiast kosztować cztery razy więcej, kosztuje tylko 600 franków. Faktem jest także, że w Stanach Zjednoczonych funt angielski jest notowany oficjalnie o kilka procent poniżej swej war-tości i tak jest sprzedawany, a banknoty od 10 funtów wwyż (które zostały wycofane istamtąd przez rząd angielski, ponieważ wy-jeżdżający do Anglii mogą brać ze sobą tylko do 10 funtów) mają wartość jeszcze niższą i zdarza się, że dziesięciofuntowy banknot an-gielski kupuje się w Ameryce za kilka dola-rów, gdy jego cena powinna wynosić 40.

Ogłoszenie w Anglii raportów Angielskiej Królewskiej Komisji dla Zachodnich Indii

CZY TEL NIK W najbliższych dniach ukaza się:
Pola Gojawiczyńska: KRATA
Seweryna Szmagłowska: DYM NAD BIRKENAU
Józef Grycz: BIBLIOTEKARSTWO PRAKTYCZNE
Namikiewicz i Rakowet: USTAWA O MAJĄTKACH OPUSZCZONYCH I PORZUCONYCH (Komentarz)

rzuca trochę światła na życie ludności tego nieszczęsnego kraju.

W Indiach stały przyrost ludności sprawia, że indyjskie zagadnienia są dla Anglii nie do rozwiązania w sposób dla Indii korzystny. Jako jedyną radę sugeruje się ograniczenie ży-cia rodzinnego, by zahamować przyrost lud-ności, gdyż w obecnych warunkach zaostro-żania się konkurencji ekonomicznej i koniecz-ności utrzymania za wszelką cenę rynków zbytu nikt nie może brać poważnie pod uwagę uprzemysłowienia kraju, które byłoby je-dynym zdrowym rozwiązaniem katastrofalnej sytuacji ludności.

Według raportu Królewskiej Komisji dla Zachodnich Indii życie tamtejszej ludności przedstawia się rzeczywiście strasznie, mimo że nie było tam wojny i mimo, że kraj ma ol-brzymie bogactwa naturalne. Nie jest przesad-ą, że w biednych dzielnicach miast i na wsi większość domów jest zbudowana z zarde-wiałej blachy lub sklecona z najędźniejszych desek i deszczulek. Bardzo często w barakach tych podłoga zniknęła od dawna i ludzie żyją wprost na gołej ziemi. W barakach nie ma okien. Światło wpada tylko przez drzwi. Ba-raki są przeludnione, a przy jednoczesnym braku urządzeń sanitarnych, wody i kanali-zacji panuje brud i robactwo mimo wysiłków mieszkańców, by utrzymać czystość. Warunki te sprzyjają szerzeniu się chorób, znajdując-ych łatwy łup wśród głodującej ludności, a według raportów większość chorób i zgonów spowodowana jest niedożywieniem. Anty-sanitarne warunki życia powodują stały wzrost malarii i choroby kiszki. Przeciekanie da-chów, gnicie podióg i połączenia z tym wilgoć, wreszcie brak światła i wentylacji potęgują szerzenie się gruźlicy, chorób wenerycznych, skórnych i trądu. Problem bezrobocia zaost-ry się wkrótce bardzo. Pracujący zaś mają zarobek niski, gdyż szesnaście szylingów, które można zarobić miesięcznie pracując w sklepie lub przedsiębiorstwie przemysłowym, stanowi gdzie indziej zaledwie skromną płacę dzienną.

Marszałek Montgomery dał pierwszą brytyjską autorytatywną ocenę życia w angielskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Wynika z niej, że tylko najniższe minimum żywności może być dostarczone ludności niemieckiej, która przypłaci to wielką śmiertelnością. Nie będzie też w zimie węgla do ogrzewania mieszkań. Nienawistna jest dla niego myśl, żeby Anglia ograniczyła swe racje żywnościowe dla umożliwienia wysiłki żywności do Niemiec, gdyż sami Niemcy ściągnęli na siebie nie-szczęście i muszą ponieść konsekwencje. Epi-demie będą wzrastały w Niemczech i warunki tamtejszego życia doprowadzą do chorób.

Także w amerykańskiej strefie, jak zapo-wiadał generał Eisenhower, nie będzie w zimie węgla na opalanie mieszkań. Produkcja węgla nie osiągnęła bowiem nawet 15% przed-wojennej. Czynnikiem jest mniej niż 10% fa-bryk w porównaniu z okresem poprzedzają-cym wojnę. Odżywianie w tej strefie jest o jed-ną trzecią niższe niż minimum wystarczające do utrzymania życia bez szkody dla organi-zmu. Według korespondentów, w Niemczech zachodnich gwałtowny wzrost śmiertelności i spadek urodzin będzie rzeczą nieuniknioną. Korespondenci zgadzają się także w tym, że w tamtejszych nastrojach odbywa się szybki i gwałtowny zwrot na lewo, przy czym prze-widuje się w najbliższej przyszłości zwrot je-szcze gwałtowniejszy. Wielki wpływ na te na-stroje ludności mają zmiany odbywające się we wschodnich Niemczech, a przede wszystkim reforma rolna i uspołecznienie kopalń. Według korespondentów ludność we wschodnich Niemczech jest za wspólnym eksploataowaniem ziemi, czemu jednak sprzeciwiają się władze radzieckie, „by nie zostać oskarżone przez za-chodnich sprzymierzeńców o chęć wpro-wadzenia w Niemczech kolektywizacji”.

W opinii angielskiej daje się odczuć wielkie skrepowanie z powodu amerykańskiej i an-gielskiej bezplanowości w stosunku do Nie-miec, a przeprowadzenie reformy rolnej w Niemczech wschodnich, upaństwowienie kopalń oraz stosunek do ludności (wybory miejscowych władz, władze centralne w Ber-linie, nie wprowadzenie zakazu utrzymywa-nia stosunków z ludnością) mają wpływ na politykę angielską i amerykańską w zachod-nich Niemczech i jeszcze bardziej powiększają zażenowanie opinii angielskiej.

Bogusław Kuczyński

ANDRZEJ NOWICKI

PODRÓŻ DO ŚWIĘTEJ ZIEMI

Poezje powstałe w obozie jeńców w latach 1939—1945

CENA ZŁ 25.—
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH SPÓŁDZIELNIA WYDAW. „CZYTELNIK”

CZY TEL NIK

J. I. KRASZEWSKI

STARA BAŚŃ

CENA 80 ZI

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”

CZY TEL NIK

Kronika ilustrowana STRATY KULTURY POLSKIEJ



JANUSZ KORCZAK powieściopisarz i wychowawca



HERMAN LIEBERMAN publicysta i polityk



MIECZYSLAW NIEDZIALKOWSKI publicysta i polityk



JAN RUBCZAK artysta malarz

Współczesna literatura amerykańska

W cyklu artykułów „Nouvelles Littéraires” informujących o piśmiennictwie światowym w czasie wojny Las Vegas omawia tendencje, jakie się za-

wym. Whitman występuje tu przede wszystkim jako szermierz demokracji; sprawy wyrazu i artystycznej techniki usunięte są raczej w cien.

PRZEGLĄD PRASY

Tętno życia umysłowego jest z każdym miesiącem silniejsze. Już nie tylko same zapowiedzi wydawnicze, jak było do niedawna, obraz literatury współczesnej kształtują. Uwidocznia się on coraz bardziej wyraźnie w wydarzeniach obiektywnych. W czasopiśmiennictwie artystycznym typ „omnibusu”, wydawnictwa usiłujące dać wyraz wszystkiemu, co z literaturą i sztuką ma związek, przestaje górować.

zgowego fotograficznego naturalizmu. W zagadnieniach istotnych jest zawsze głęboko prawdziwy. Nigdy nie pozwala swoim bohaterom na powiedzenie, pomyślenie lub odczucie czegokolwiek, co nie wypływałoby z ich potocznej pozycji.

Trzeci zeszyt „Twórczości” przedstawia najlepiej na planie rozwoju tego pisma drogę, jaką literatura przeżyła w ciągu miewielu miesięcy.

Kazimierz Wyka słusznie uważając, że nowa literatura realistyczna nie przyjdzie z powietrza, albo z równie jak onb nieokreślonej przeszłości, usiłuje znaleźć dla niej tradycje w literaturze dwudziestolecia.

Utwory poetyckie Marii Pawlikowskiej i Antoniego Słonimskiego, obok znanych z konspiracyjnej prasy wierszy Stanisława Balińskiego, to reprezentatywne dla „polskiego Londynu” pozycje literackie.

Analizując twórczość dwudziestolecia, Wyka dostrzega w niej dwa nurty: tragiczności i drwiny oraz wyraża poglądy, iż literatura teraźniejsza jeszcze nurty te kontynuuje.

Proza Ksawerego Pruszyńskiego ciekawą, wprowadzając fabularnie w historyczne już dziś zdarzenia. Formalnie jest to ten typ prozy, za podstawę którego sama redakcja „Twórczości” uważa „po-

Wydaje się również, że nie wytrzyma próby czasu osad Wyki, iż okres, który się w literaturze rozpoczął, przyniesie rozkwit prozy a schyłek poezji.

Lecz najistotniejsze pozycje omawianego zeszytu „Twórczości” to przekład jednego z rozdziałów książki „O realizmie” znakomitego krytyka rosyjskiego, Georga Lukacsa oraz artykuł Kazimierza Wyki „Tragiczność, drwina i realizm”.

Pogady w problematykę literacką trzeci zeszyt „Twórczości” zawiera oprócz wzmiankowanych materiałów ciekawą kolumnę poezji rosyjskiej (od Puszkina do Tichonowa) w układzie Mieczysława Jastruna i Seweryna Pollaka.

Na przykładzie Balzaka (rozdział z Lukacsa zawiera rozważania krytyczne na temat „Chtopów” Balzaka), tego genialnego realisty, krytyk rosyjski formułuje niektóre z cech realizmu, które swoją konkretnością przeciwstawiają się niejasnym postulatom realistycznym wysuwanych w dyskusji niedawnej u nas.

„Sprawom teatru poświęcone są dwa miesięczniki: ogólnopolski „Teatr”, wychodzący w Warszawie i Krakowie pod redakcją J. N. Millera i Tadeusza Brezy oraz lokalny, krakowski, „Afisz Starego Teatru”, redagowany przez Wojciecha Natansonę.

I tak: sprawiedliwość artystyczna, która wyklucza świadomą tendencję, zmusza do takiego tworzenia dzieła, które byłoby konsekwentnie wobec obiektywnej rzeczywistości, a nie wobec stanowiska ideowego twórcy; prawdziwość przez ogarnięcie całości zjawisk; przeciwstawienie przez ogarnięcie całości i karykatury. Oto przykłady kapitalnych sformułowań:

W numerze pierwszym „Teatru” J. N. Miller omawia ważną dla kultury narodowej sprawę demokracji teatru. Nowe warunki społeczne stawiają przed teatrem nowe zadania: przystosować się do wymogów świeżej publiczności oraz zdobyć ją i ukształtować jej smak teatralny.

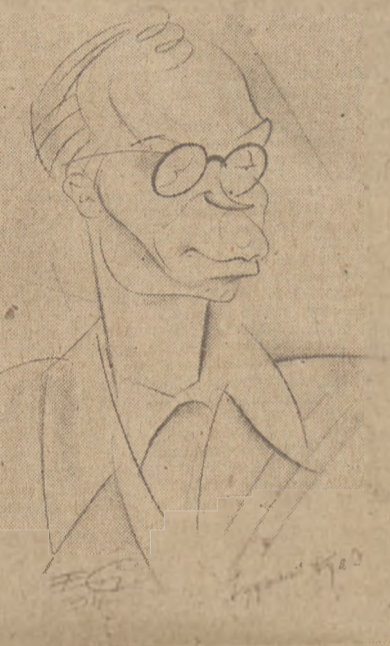
Balzac ogarnia proces rozwoju kapitalizmu w całości, przedstawiając wszystkie klasy francuskiego społeczeństwa. Opisuje charakterystyczne różnice pomiędzy kupcem i właścicielem manufaktury przedrewolucyjnego okresu, a mieszczaństwem z epoki Restauracji i monarchii lipcowej (typy Biroteau, Ragoteau, Popineau, Crevela), tak samo postępuje Balzac w stosunku do pozostałych klas francuskiego społeczeństwa.

„Teatr, który był dotąd wykładnikiem potrzeb i smaku estetycznego drobniomieszczanstwa lub pewnych grup ziemiaństwa, musi obecnie dostosować się do potrzeb i smaku zupełnie innych grup społecznych, niż te, na których dotąd opierał swe istnienie”.

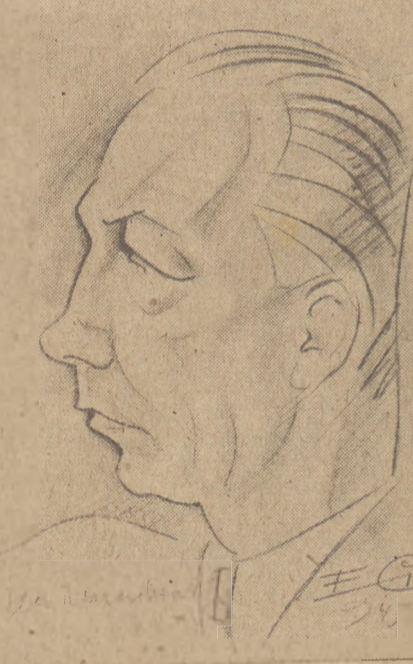
LITERACI NA ZJEŹDZIE



TADEUSZ BREZA



ZYGMUNT FIJAS



LEON KRUCZKOWSKI



ADAM POLEWKA